

Świt, zwyczajem wszystkich świtów północy, wstawał wilgotny, mglisty i chłodny. Zwłaszcza tutaj, nad rzeką, gdzie ogromne masy toczonych z gór mętnej wody dodatkowo ochładzały powietrze i bezustannie warczały swoją pieśń fal. W dole rzeki z oparu powoli wyłaniał się ostry zarys murów warowni Arden. Niczym żółte kropki na zębatych krenelażach, powiewały złociste flagi z gryfem. Poniżej murów widniały białe plamki namiotów tryntyjskiej armii, dymy obozowych ognisk, czerniały rozkopane wały i pospiesznie wykonywane okopy, sięgające aż po szeroko rozlane wody tam, gdzie wypłaszczenie koryta pozwalało przebyć rzekę. Bród Arden. Po jego przeciwnej stronie w równych szeregach, okolone palisadami widniały obozowiska Pierwszego Tymenu wielkiej armii Wergundów. Względna ciszę poranka za chwilę przerwie warkot werbli i granie rogów. Sygnały do ataku. Do kolejnego dnia wielkiej bitwy.

Z tego miejsca widać było roztaczającą się za zamkiem równinę, zieleniejącą pierwszą trawą wiosny. Późno, pomyślał. Przecież już ebreł, o tej porze w Akwirgranie kwitną już pierwsze bzy. Podniósł wzrok dalej, ku ledwie rysującym się na horyzoncie szarpanym liniom gór Shamaroth i Silber. Gdzieś u ich stóp budził się właśnie Askaron, stolica Tryntu. Zacisnął szczęki i wrócił wzrokiem bliżej, pod własne stopy, spojrzął w dół z cypla, na którym stał. Pod nim rzeka Rana wściekle toczyła brudnobure fale, gryząc brzegi i hucząc jak zapowiedź burzy, wlekąc z nurtem poszarzałe kawały kry, wyrwane drzewka, karcze i gałęzie.

- Panie – czyjś głos przerwał zamyślenie – Przyjmij płaszcz, dziś zimno. Panie...? – powtórzył przyboczny, w stopniu dekuriona, o czym informowała patrzących szarfa ze znakiem, przerzucona przez ramię. Mężczyzna, do którego były skierowane te słowa, drgnął jakby się właśnie obudził. Machinalnie pozwolił się okryć płaszczem.

- To jest szaleństwo, Arnulfie – powiedział – To jest cholerne szaleństwo.

Adiutant nie skomentował, pozwalając władcy pogrążyć się w niewesołych myślach.

Wstawał właśnie 5 ebril 833 roku po Wielkiej Ekspansji wg rachuby Ofiru.

- Dziękuję – powiedział samotny wędrowiec, zbierając z ziemi część porzuconego wcześniej tobołka. Zarzucił go na ramię, ewidentnie szykując się do odejścia.

- Eeeee, ale... dokąd się, panie, wybierasz – jeden z nieznanym, elf najwyraźniej, podniósł głowę znad trupa zabitego. U jego stóp leżały trzy dalsze ciała. Towarzysze elfa przeszukiwali je właśnie, próbując rozszyfrować w jakiś sposób ich tożsamość. Nie dalej jak kilka minut temu skalne ściany głębokiego wąwozu były świadkami dramatycznej sceny. Jeden człowiek osaczony przez trzech napastników, milczących i świetnie wyszkolonych, a potem niespodziewany ratunek znikąd. Grupa przypadkowych poszukiwaczy skarbów... Gdyby wędrowiec był człowiekiem trochę bardziej ufnym, zapewne uwierzyłyby, że to rzeczywiście przypadek.

- W dalszą drogę – uciął lakonicznie – Jestem wam wdzięczny za pomoc i ratunek, ale tam, gdzie podążam czekają na mnie i nie mogę zwlekać – odwrócił się energicznie, ostatnim spojrzeniem omiatając grupę wojowników, którzy mu niespodziewanie pomogli. Dyskretnym ruchem zgarnął

włosy zza ucha na czoło, tak by zasłonić swój kymeryjski tatuaż, jednocześnie nasłuchiwał ich rozmów, dopóki mógł je słyszeć i starał się zapamiętać imiona. Nie zatrzymywali go dłużej.

Do celu dotarł jeszcze tego samego dnia. Zanim załomotał głowicą miecza w dość prymitywne wrota małej warowni, poprawił płaszcz, założył na palec pierścień z herbem i dla odmiany odgarnął włosy, pokazując tatuaż na prawej skroni. Uderzył, a huk poniósł się echem po dolinie.

- Elmeryk, syn Klodwiga, potomka Danwiga czeka na wielkiego wodza Gotreka Moorgvrangvoorhrr'a – zawołał, błogosławiąc w duchu pomysł, który kazał mu imię orka powtarzać sobie w myślach przez całą drogę – Przeszedłem przez ziemie wrogów, żeby zawrzeć z nim święty pakt wojny!!

Otwierane wrota skrzypnęły przeciągle, odsłaniając wyprostowaną postać orka. Był ciemny na twarzy, a jego czarne, splecione w drobne warkocze włosy, przytrzymały okręcone wokół głowy rzemienie. Obszerna przesywanica, przepasana grubym pasem, była jego jedyną zbroją. Sękatę rękę opierał na jelcu wielkiego, szerokiego jak wiosło miecza.

- Witahhhj whrrrłaadco Wehrrrhundhiiii... – wycharczał ork, kalecząc ludzką mowę. Wrota otworzyły się na oścież. Elmeryk wkroczył do orczej warowni.

Nie dalej jak kilka godzin później, zupełnie inną drogą, do orczej bramy dotarł też zwiadowczy oddział Wergundów, wysłany, aby ochronić powrót do swoich swojego władcy.

- Są obsesyjnie honorowi – podsumował oficer, podając Elmerykowi ozdobny sztylet – Stąd ten obrzęd krwi, jego złamanie ściągnie na wszystkich gniew bogów. Prowadzący uroczystość wymówi słowa przysięgi, a potem każdemu z was poda sztylet. Zwyczaj nakazuje, aby nadciąć nim skórę na prawej dłoni, potem podacie sobie te dłonie, mieszając krew – zająknął się nieco, ale widząc skinienie władcy, kontynuował - Wynegocjowaliśmy jasne warunki przymierza. Wesprą nas w każdej wojnie przeciwko każdemu wrogowi, w zamian do nich należą góry stąd aż do krasnoludzkich przełęczy. Nie życzą sobie walki pod naszymi znakami, więc o wcieleniu ich w nasze manipuły możemy zapomnieć. Ich prowadzi święty buńczuk z czaszek – sarknął, ale zmienił ton pod piorunującym spojrzeniem – W górach zniszczą każdego wroga, który zechce przeciwko nam wystąpić, jeśli nie zdołają, zejdą za wrogiem na równiny i będą walczyć tak długo, aż zginą bądź zwolnimy ich ze słowa. W zamian oczekują wsparcia w każdej ich wojnie, udało się wynegocjować wyjęcie z tego ich wojen podziemnych z elfami i krasnoludami.

- Dobrze – mruknął w zamyśleniu książę Wergundów – Będziemy potrzebować tego wsparcia. Co z tym oddziałem, który otoczyliście w forcie?

- To jakaś zbieranina – powiedział magnifer – Są wśród nich Samnijczycy i jacyś najemnicy tryntyjscy, generalnie podobno służą Pani Miasta na Przełęczy.

- Samnijczycy i Tryntyjczycy w jednym oddziale? – Elmeryk podniósł się gwałtownie – Razem? Czy wy jesteście ślepi? – magnifer skulił się, jakby dostał w twarz i pozostał z pochyloną głową – Zorientujecie się dopiero, kiedy Trynt i Samnia zawrą jakiś sojusz nad naszymi głowami?! Nie ważcie mi się ich wypuścić z tego fortu. Ale ma im włos z głowy nie spaść, macie pojmać ich żywcem. Jutro chcę znać ich nazwiska, a najdalej za tydzień wywiad ma dostarczyć mi nazwiska ich mocodawców. Zrozumiałeś?

- Tak, panie...

- A teraz miejmy już za sobą ten cholerny obrzęd. Muszę wracać za rzekę, zanim Eudomar dojdzie do wniosku, że nie żyję. Po zakończeniu uroczystości rozdać wszystkim zapasy, niech się bawią. Konie w gotowości, wyruszam natychmiast na południe.

Szarpięciem rozchylił poły namiotu i wkroczył energicznie w szpaler czekających na niego z pochodniami wojowników, poprawił szkarłatny płaszcz z lisim futrem, kolczugę i nabijany kamieniami diadem na skroniach. Kiedyś w końcu założył Smoczy Diadem, Koronę Ludów, pomyślał... Spojrzał na ciemniejącą poza zasięgiem pochodni linię starego fortu. Gdyby nasłuchujący tam w ciemności jego obrońcy mogli zobaczyć jego wzrok, zdrzeliby ze strachu...

Zagrzmiał róg i zawtórował mu chór chrapliwych orczych głosów. Elmeryk i jego świta podeszli do kręgu, w którym wiekopomne przymierze miało zostać zapieczętowane krwią dwóch władców.

Był miesiąc gouere wedle kalendarza Ofiru, środek gorącego lata roku 832.

- Nasz pan cię wzywa! – rozdarł się strażnik, co najmniej jakby stojąca nieruchomo w podcieniach drewnianego dworzyszca druidka była głuchawa. Nie była, ale wzięła głęboki wdech kończący medytację, zwinęła w ręce maleńki amulecik i dopiero niespiesznie zwróciła się ku strażnikowi.

- Bardzo to miłe z jego strony – odrzekła cicho, wkraczając do zadymionego pomieszczenia nazywanego salą tronową. Dagome, komes teralskiego grodu Lęda, każący od jakiegoś czasu nazywać się księciem, spoczywał pół-leżąc na rzeźbionym i malowanym siedzisku, wyścielonym na ofirską modłę haftowanymi poduchami. Ruchem ręki wskazał jej, by podeszła. Kharie, druidka z kręgu Aelien, rodowita Teralka, westchnęła z pobłażaniem. Zdecydowanie obsesja władzy księcia wzrosła od ich ostatniego widzenia.

- Książę, wysłałeś mnie, abym zbadła dla ciebie sytuację i odpowiedziała, po której stronie stanąć ma Terała- zaczęła – I zrobiłam to.

- Tak – przerwał – Jest mi to wiadome. Jak również wszystkie inne twoje wyczyny w Wolnym Mieście, które przyczyniły się ku korzyści naszych największych wrogów.

- Krótkowzroczność, panie, nie jest cechą dobrych władców – teraz ona weszła mu w słowo, a jej głos przybrał bardziej zdecydowany ton – Obaj nasi dotychczasowi wrogowie razem wzięci są niczym w porównaniu z potęgą, która nadciąga z południa i której sam nie zwalczysz.

- Dość! – Dagome zerwał się z siedziska i Kharie dopiero teraz dostrzegła, co trzyma w ręce. Książę Leśnego Ludu wspierał się na drzewcu włóczni, której zwieńczenie stanowił, lśniący i dopiero co odczyszczony grot, grawerowany w misterne, najwyraźniej elfie i krasnoludzkie znaki. Kharie nagle poczuła się jak ślepiec, który odzyskał wzrok – Dość mam twoich impertynencji, panno Kharie. Nie wisisz jeszcze na częstokole tylko dlatego, że ludzie tutaj z niewiadomych przyczyn cię poważają! Tymczasem jesteś zwykłą zdrajczynią, przyłożyłaś rękę do zjednoczenia dzikusów z Samni z

zakutymi w żelazo ciemiężcami z Tryntu! Chcesz powiedzieć, że sojusz naszych śmiertelnych wrogów ma nas uratować...?

- Kto ci dostarczył Draig-a Haern? – zapytała Kharie cichym głosem i natychmiast sama sobie odpowiedziała. Dostrzegła bowiem opartą o słup za tronem znajomą postać, której dotychczas nie widziała. Yngvild.

- A tak – napuszył się książę – A właśnie tak! W moich rękach jest teraz święty grot, króty uczyni mnie władcą świata.

Kharie nie mogła powstrzymać się przed parsknięciem.

- Dagome – świadomie zrezygnowała z formuły należnej księciu – Ty nie wiesz o czym mówisz. Ten artefakt należy do minionego świata i jego moc przedłużała życie zatopionego imperium. Teraz nie ma już żadnej mocy, bo umarł ostatni z rodu dawnych jego władców, a nikomu innemu ten grot nie będzie służył. Zaklęcie w nim zamknięte w niczym ci nie pomoże, komesie.

- Bzdety – warknął władca – To jest grot władców, kto go ma, ten...

- Tłumaczyłam mu to, Kharie – odezwała się Yngvild, wychodząc z cienia – Ale nie chciał mnie słuchać. I nie sądzę, żeby był sens tłumaczyć to nadal.

- Zaniósł mu artefakt...

- To mój zawód, pamiętasz? – uśmiechnęła się poszukiwaczka – Odnajduję dla ludzi różne drobiazgi z przeszłości. Ten nie ma już mocy, ale dla twojego księcia zdaje się ma wartość ... hmm, sentymentalną.

- Co może wiedzieć jakaś podrzędna hiena cmentarna do spółki z czcicielką zielonych sarenek – skwitował kpiąco Dagome – Ja od teraz mieć tu będę potężniejszych doradców...

Jak na zamówienie, od strony drzwi dobiegł jakiś rumor, wierzeje otwały się z trzaskiem i ze stukiem obcasów, z doskonałym wyczuciem dramatyzmu wmaszerowała do środka dziesiątka wergundzkich wojów w równiutkich dwójkach. Pierwszy na czele stuknął obcasem i zaanonsował:

- Jego wysokość książę Daków, Eudomar, dowódca Pierwszego Tymenu armii wergundzkiej, przybywa aby, jak ustalono, aby eskortować cię, panie, do tymczasowej polowej siedziby Wielkiego Elmeryka, Księcia Północy, gdzie złożysz mu hołd lenny.

Kharie usłyszała, jak za jej plecami poszukiwaczka wyjątkowo nieładnie zakłęła. Druidka poczuła pociągnięcie za rękaw. Yngvild skinieniem głowy pokazała jej małe tylne wejście za tronem księcia, który w chwili obecnej najwyraźniej był ogromnie przejęty osobą wchodzącego do sali dostojnika. Gdy dały nura w drzwi, Yngvild wyszeptała:

- Twój książę w zamian za gwarancję ochrony przed Tryntem i Samnią dał Wergundowi wolną drogę przez swój kraj i wsparcie swoich leśnych łuczników. On naprawdę uwierzył w moc tego grotu, w to, że kiedyś zastąpi Elmeryka...

- Ten grot nie ma żadnej mocy! – syknęła Kharie – Wiesz o tym tak samo jak ja!

- Wiem – uśmiechnęła się bezczelnie poszukiwaczka – Ale dał mi za niego sto bezantów w czystym złocie... Zmywajmy się stąd, zanim twój uroczy władca zechce powetować sobie ten ubytek i przehandlować nas Wergundom...

Pobiegły błotnistymi uliczkami grodu Lęda. Był słotny i ponury koniec miesiąca Du, przedostatniego miesiąca roku 832 wg kalendarza Ofiru.

Nikt mieszkający na powierzchni nie ma najmniejszych szans w walce z istotami mieszkającymi w mroku podziemnych korytarzy. Enid powinna była to wiedzieć, zanim zgodziła się towarzyszyć Nenuriel w podziemnej wojnie. Dziedziczka bez dziedzictwa, arystokratka bez państwa, księżniczka Laromatonu na wygnaniu... Co lepszego mogła zrobić, żeby odzyskać należne jej miejsce, niż walczyć? Stała więc u boku podziemnych pobratymców, licząc na wymazanie swoich win i wstawiennictwo przyjaciółki Nenuriel Raeten-An-Aren, w chwili obecnej stojącej na czele podziemnej elfiej armii. Czarna elfka liczyła na to, że pokonanie goblinów zajmie połączonym siłom elfów i krasnoludów może kilka dni. Tymczasem zaraz na początku okazało się, że pod ziemią w ogóle nie sposób było liczyć dni normalnym sposobem. Enid liczyła więc według posiłków, jakie podziemne elfy spożywały po kilka razy na dobę. I według tej rachuby wychodziło, że od czasu, gdy w Mieście na Przełęczy zeszły do podziemi przy wielkim Rogu Ranów, minęło pół roku. Nie miała pojęcia, co dzieje się na powierzchni. Tęskniła na światłem dnia. Oczy coraz bardziej przyzwyczajały się do ciemności rozświetlanej bladym blaskiem fluorescencyjnych roślin. I właściwie mogłaby się tym przejmować. Gdyby nie fakt, że owe pół roku było praktycznie nieustającą bitwą.

Zaczęło się jeszcze pod Górą Silber. W wielkich kawernach zapłonęły światła i pochodnie, nadchodzące armie goblinów poruszyły wielkie gongi podziemne, od których wibrowały ściany. Enid widziała żelazne, zwarte oddziały krasnoludów, maszerujące równym krokiem przeciwko dziesięciokrotnie liczniejszemu oddziałowi zielonych przeciwników. Widziała ubrane w czarne zbroje elfy, w berserkerskim szale niszczące goblinie kohorty jakby tłukły uszkodniki. Widziała swoją przyjaciółkę, odzianą w czernione żelazo, z bladą twarzą wysmarowaną w czarne pasy, platynowobiałym warkoczem, zawiązanym w czarny jedwabny kokon, która jako dziedziczka tronu dowodziła przybywającymi wciąż oddziałami podziemnych. Enid widziała straszliwe efekty nowej gobliniejszej broni, widziała strugi ognia, zalewające z nagłą korytarze, widziała wybuchające pułapki, od których waliły się podtrzymujące stropy kawern słupy, widziała zapadające się zniemacka całe sztolnie, oglądała tajemniczy biały ogień, wędrujący w górę krasnoludzkich szybów. Oglądała też ciała tych, którzy nie zdołali uciec... Przez te pół roku oglądała cuda odwagi i sztuki bojowej, których dokonywały obydwie rasy. A właściwie wszystkie trzy. Bo pomimo szalonej brawury elfów, pomimo nieugiętej hardości krasnoludów, gobliny nie cofały się ani na krok z zajętych raz sal i korytarzy. Ginęły setkami, ale nie sposób było ich odeprzeć. Aż w końcu nadszedł moment, kiedy Nenuriel, księżniczka podziemnych elfów i Horulf Cztery Topory, dowódca krasnoludów, wybrany przez Radę Klanów, podali sobie ręce i wzajemnie życzyli powodzenia. Krasnoludy wycofały się daleko aż po ufortyfikowany po zęby półwysep Shamaroth. Elfy cofnęły się daleko na południe.

- Obiecałam kiedyś – powiedziała któregoś "dnia" Nenuriel – że sama osobiście odprowadzę cię do Laromaton, Kraju Skał. Gobliny zatrzymały się na Czerwonych Zębach, teraz mogę z tobą wrócić na powierzchnię.

Czerwone Zęby, ogromne jaskinie słynące z porostów dających koralową poświatę i ogromnych stalaktytów, znajdowały się mniej więcej pod Akwirgranem. W tym samym czasie na powierzchni dobiegał końca c'hwevrer, pierwszy miesiąc 833 roku wg kalendarza Ofiru...

Koń rwał na złamanie karku, chrapiąc przeciągle i gubiąc ślinę. Przytulony do jego grzbietu drobnej postury jeździec w futrzanej czapie, byłby prawie niewidoczny, gdyby nie czerwony samnijski kaftan, wyróżniający go na tle biało-rudego stepu. Na pierwszy rzut oka widać było, że gnają tak nie pierwszą godzinę, i komuś, kto ma nikłe pojęcie o wytrzymałości stepowych bachmatów, wydawać by się mogło, że rumak lada chwila zaryje chrapami w śnieg. Ale on nie ustawał, zwłaszcza że na pustej, równej jak stół linii horyzontu pokazały się dymy.

...

Filcowa, zimowa jurta, ozdobiona czerwoną nicią, była wyższa od wszystkich pozostałych w obozowisku. O jej randze mówił też zatknięty na szczycie buńczuk i postawiony przed nią totem ze znakiem jaskółki, totem rodu Garmanidów. Uther zsunął się z parującego konia tuż przed jurtą, oddał go w ręce młodzieńców, którzy natychmiast go otoczyli i zaczęli rozcierać boki i mięśnie wierzchowca wiechciami słomy. Ledwie ustał na nogach, ale poprawił kaftan i czapę i dopiero wszedł zachowując właściwą postawę.

Wnętrze chaty było ogromne. W środku, wokół ognia siedzieli wodzowie wszystkich dziesięciu plemion Wielkiej Samnii. Siedział też nieznanemu szaman w towarzystwie dwóch wojowników, a na podwyższeniu, na złożonym, wykonanym z płytek szlifowanego rogu podeście siedział sam książę Turin. U jego stóp, w półprzykłęku, siedział jego jedyny dziedzic i ukochany syn, Ałdaj. On to, zgodnie z obyczajem, gestem wskazał uzdrowicielowi miejsce w kręgu Wielkiej Rady. A jako, że był to ostatni z tych, na których czekali, książę wznosił w górę ozdobny kubek z kumysem, a małym buzdyganem uderzył w stojący obok fotela miedziany gong.

- Muraco Biały Księżycu – zwrócił się do szamana po wygłoszeniu tradycyjnego wstępu i wezwania do duchów przodków – i ty, Utherze Seranisie. Wybrańcy i przyjaciele naszego nieodżałowanego Oteoli. To wy pierwsi dostrzeżliście burzę idącą od nas z zachodu. To dzięki Wam zawarliśmy przymierze z naszym dotychczasowym wrogiem, by wspólnie stanąć wobec dużo groźniejszej nawałnicy. Mów więc, uzdrowicielu...

Uther odetchnął głęboko, odganiając zmęczenie po długiej gonitwie przez step.

- Zanim zejda śniegi, musimy być gotowi na wojnę – powiedział w końcu – Elmeryk nie pójdzie na Askaron wzdłuż Szarki, jak przewidywano, nie utknie na długiej przeprawie u ujścia rzek, nie narazi się na ataki okrętów Fiordu. Jego Pierwszy Tymen maszeruje właśnie teraz wzdłuż rzeki Rany na północ, żeby uderzyć na bród pod Arden. Cały tymen. Dziesięć tysięcy karnych wyszkolonych żołnierzy jego najlepszej armii! Widziałem ich ... – sapnął, jakby wyrzucił z siebie jakiś wielki ciężar – Zmusi Rangveig do przerwania wszystkich sił do obrony Ardeny, inaczej kiedy tylko puszcza mrozy, uderzy od wschodu na stolicę Tryntu.

- Utherze – odezwała się Taraini, jag-bei plemienia kruka – Jak miałyby rozpocząć walkę o bród na Ranie, mając za plecami Ludzi Lasu? Przecież...

- Terałe nie zagrożą Elmerykowi – przerwał jej gwałtownie i niezgodnie z obyczajem wojownik siedzący zaraz za szamanem – Dagome złożył hołd Wergundom. Lasy Terali stoją dla nich otworem, aż do granic Samnii. Mało tego. Tryntu nie wspomogą też sprzymierzone krasnoludy. Elmeryk wsparł podziemne gobliny bronią i żywnością. Rozmnożyły się tak, że zmusiły karłów do obrony Shamarothu, z którego się nie ruszą. Skończyły się bezpieczne czasy pokoju, bardzo mi przykro....

Szaman zmiotygotował go nieco ruchem dłoni i potrząsnął kosturem z grzechotką, trzymany na kolanach. Widać było, że ciężar wieku to ciężkie brzemie dla tego syna stepu, który całe życie spędził na traktach.

- Złe są słowa Gambaatara, Łowcy Potworów – odezwał się przenikliwym, chrapliwym głosem wskazując na wojownika – Złe, bardzo złe. Ale prawdę niosą i Lis to wie... Lisek wie... Lisek widział... Wrogowie nadchodzą w wielkiej sile. Lisek wie, że gdy myśliwy do nory się zbliża, trzeba go szarpać i zwodzi jak najdalej od swoich szczeniąt... Jak najdalej... Gdy wpadnie do nory, ratunku nie będzie, jeno skowyt i rozpacz... Musisz, wielki kniaziu, wszystkich jag-bejów wezwać, niech dzieci swe zbiorą, wszystkie, które tylko łuk naciągać potrafią... Niech myśliwego odciągną. Niech jak najdalej od szczeniąt przyjdzie nam walczyć o swoją norę...

Po jego słowach w jurcie zapadła cisza duszna i ciężka, jak powietrze przed burzą, wypełniona krzyżującymi się spojrzeniami pełnych strachu oczu. Przerwał ją Uther.

- Elmeryk dotrze do brodu najdalej w dwa obroty księżycy i uderzy, gdy tylko puszczą mrozy i spłynie kra. Arden wytrzyma długo. Ale nie bez końca. Jeśli nie wesprzemy Tryntu na brodzie w Arden, jeśli tam nie zwyciężymy raz na wczoraj, będzie tak jak powiedział Muraco – za chwilę przyjdzie nam walczyć o nasze szczeniata w naszych własnych norach..

Uther często widywał kniazia Turina i wiedział, że lata odcisnęły swoje piętno na tym wojowniku i myśliwym. Dziś jednak w oczach władcy płonęły czarne ognie, jak za młodu, gdy był chłopcem i ujeżdżał dzikie konie na stepach Samarkandy. Gdy podniósł się z miejsca, wszyscy znieruchomieli w oczekiwaniu.

- Zanim miesiąc raz się obróci, wszystkie dziesięć jaghanów stanąć ma pod wzgórzami Czitaju gotowych wyruszyć przez przełęczę Silberu pod Arden. Ale każdy z was, jag-beje, matki i ojcowie swoich plemion. przyprowadzić musi nie dziesięć arbanów, jak dotychczas bywało, ale dwadzieścia. Dwudziestu atamanów na ich czele. Zbierzcie z jahałów nie tylko wojowników. Zbierzcie myśliwych i tropicieli, zbierzcie każdego, kto trzyma łuk lub szablę, dorastających młodzików, kobiety, co bronią jurt, zbierzcie szamanów i uzdrowicieli, zbierzcie każdego prócz starców i ciężarnych. Niech zamiast tysiąca w jednym minghunie staną tu dwa pełne minghuny, rzesza jakich stepy Samnii jeszcze nie widziały. Na czele jednego stanie syn mój, Ałdaj, drugi zaś poprowadzi zasłużony już przy zawieraniu sojuszu w Wolnym Mieście, Gambaatar. Ty Utherze, jedź z nami, bądź moją mądrością i radą. Ty zaś, Muraco...

- Ja będę twoimi oczami i uszami – uśmiechnął się starzec – Lisek jeszcze ma wszystkie łapy, jeszcze zdoła biec ze swoimi.

Uther pomimo zmęczenia poczuł przeszywający go dreszcz. A może właśnie zmęczenie to potęgowało. Oczy wyobraźni widział już po horyzont ciągnące się oddziały lekkich, śmigłych koników i ich smagłych jeźdźców, słyszał okrzyki wojenne, widział znaki rodów malowane na

twarzach... Świst i tętent kopyt, wiatr we włosach... Step nie widział jeszcze takiej armii... A zza ich sylwetek, tej płynnej i ruchomej masy ludzi, dostrzegł patrzące na niego przenikliwie spokojne, czarne jak bezgwiezdna noc oczy Oteoli....

Był feur, drugi miesiąc 833 roku wg kalendarza Ofiru...

- Panie...?

- Eudomarze... Daruj sobie te tytuły. Towarzyszysz mi od samego początku, od pierwszych bitew... Ile to już lat?

- Dwadzieścia...- westchnął książę Daków

- Tak... Dwadzieścia lat ciągłych wojen... Widzisz tą równinę? Ten bród....? Wiesz, że Samnijczycy przedarli się przez przełęcz?

- Wiem. Orki nie zdołały ich powstrzymać. Na tych swoich koniach będą tu najdalej za pięć dni. Jeśli zastaną nas podczas walk o bród... Książ Turin wie gdzie tu prawie półtora tysiąca wojowników, są zmęczeni i poranieni, ale to nadal Samnijczycy... Oni są jak stado ptaków, możesz ich rozgonić, ale nie pokonasz...

- Wiem, przyjacielu. Dlatego ten bród będzie końcem...

- Końcem czego?

- Nie czego, tylko kogo – uśmiechnął się Elmaryk, książę Wergundii, Pan Północy – Tego jeszcze nie wiem. Jeśli przez 5 dni nie przejdziemy rzeki, zostaniemy tu pogrzebani, wy i ja razem z wami. Bo jeśli nie przejdziemy tej rzeki, wielkie imperium potężnej północy nigdy nie powstanie. Nigdy nie zjednoczę tych wszystkich ziem pod jednym berłem, pozostaniemy rozbici i słabi, wybijając się wzajem w bezsensownych waśniach. Jeśli przez 5 dni nie przejdę tej rzeki, to ta równina stanie się moim kurhanem.

- Nie pozwolimy umrzeć swojemu... – Eudomar pospieszył z zaprzeczeniem, ale książę przerwał mu w pół słowa.

- Nikt – uśmiechał się, mówiąc, ale jego głos zazgrzytał jak klinga o okucie pochwy – Nikt nie będzie mi udzielał pozwolenia na moją własną śmierć. Pamiętaj o tym... – przez chwilę pomilczeli, po czym Elmaryk wskazał ręką majaczący w dole rzeki gród i bielejące u jego stóp wojskowe namioty – Ona też o tym wie. Rangveig Żelaznoręka...- uśmiechnął się – Ona nie skapituluje i nie złoży hołdu, ona wie tak jak ja, że musi obronić rzekę, aż przybędą Samnijczycy. Inaczej to ona tu zostanie pochowana, jako ostatnia władczyni Tryntu. Ot, krew Tradamonitów, dwanaście pokoleń wojowników i władców zobowiązuje, krew nie woda. Nie ustąpi nawet na krok.

- Nie przebijemy się w tych warunkach w pięć dni...- mruknął ponuro Eudomar

- Wiem – uciął władca – Dlatego nie zamierzam czekać, aż horda koczowników spadnie nam na głowy. Wezwij do mnie obydwu magniferów i wszystkich dekurionów – oczy Elmaryka zmrużyły się

niebezpiecznie, jak zawsze, gdy podjął decyzję – Wyślij do najbliższych osad nadrzecznych dwie centurie z poleceniem rekwizycji wszystkich lin, jakie mają w zagrodach. Grubych lin, takich, jakich używają do wiązania tych swoich tratw i bali spławnych. I całego zapasu wosku. I stalowych prętów.

- Co ty planujesz....?

- A potem – ciągnął władca zupełnie nie zważając na rosnące w oczach rozmówcy zdumienie – A potem wydaj polecenie, niech z wszystkich kohort zgłoszą się do swoich dekurionów ludzie urodzeni nad rzekami w ich górnych biegach. Ludzie z Gór Maegros, Kymerowie, jeśli jacyś są, Salijczycy... Wszyscy, którzy potrafią pływać w lodowatej, rwącej wodzie...

Końskie kopyta rozbryziwały wodę we wszystkich kierunkach. Ogniste pociski, wystrzeliwane regularnie przez wergundzkich magów, ukrytych za kamiennymi osłonami po drugiej stronie rzeki, wybuchały z ogłuszającym hukiem nad szeregami obrońców, parząc i oslepiając.

- Taaaa-rcze! – wydarł się Halvard Moarsonn – Włóóóó-cznie! Zaprzec! Trzymać szereg! Wsparcie z tyłu!

Okrągłe tryntyjskie tarcze zwały się z hukiem, wojowie w pierwszym szeregu pochyliли się lekko, oparli plecami o tarcze towarzyszy z drugiego szeregu. Za Halvardem ktoś machnął znacznikową chorągiewką i za plecami tarczowników syknęły ciężki długich łuków. Groty brzęknęły tylko jak metalowe owady, odbijając od okutej w żelazo wergundzkiej kawalerii, rozpędzonej na tyle, na ile pozwalało kamieniste szerokie rozlewisko. Pędzący na czele tenent wymachiwał nad głową lekką szablą i wykrzykiwał coś, wojowie pochyliли się nisko w siodłach, opuścili niżej kopie...

Ale woda skutecznie hamowała końskie pęciny. Kopie uderzyły w tarcze z łomotem, posypały się drzazgi, tryntyjski szereg jęknął, ugiął się. Wydający bezustannie rozkazy Halvard machnął ręką, z jego prawej strony ruszyli truchtem topornicy z małymi okrągłymi puklerzami w rękach i wbili się w bok turmai kawaleryjskiej, siekąc po końskich brzuchach, nogach jeźdźców, ściągając ich na ziemię ostrzami zakrzywionych toporów. Z drugiej strony rzeki najwyraźniej dano rozkaz wzmożenia magicznego ostrzału, bo ognie uderzyły ze zdwojoną siłą, nie krzywdząc odzianych w żelazo Wergundów i ich koni z osłonami na głowach, parzyły za to osłoniętych głównie w skórzane lamele Tryntyjczyków. W powietrzu rozniósł się mdlący zapach palonej skóry. Osłaniając oczy przed iskrami, Halvard dał znak trzymającemu chorągiew i ten machnął nią w drugą stronę.

- Naaaa-przód! – Ulf Ragnarson wrzasnął najgłośniejszym jak potrafił, ale mając świadomość, że w ogólnym huku prawie nikt go nie usłyszy, poparł rozkaz machnięciami miecza nad głową. Od kiedy awansował do rangi setnika w tryntyjskich oddziałach najemnych, opanował do perfekcji trudną sztukę wydawania rozkazów. Ruszyli truchtem w kierunku ognistego piekła, on, Einar, a za nim cała setka tarczowników. Na szerokim wypłaszczeniu terenu, pokrytym żwirem, który w poprzednim miesiącu naniósł tu rzeka, konni rozłożyli się już w szeroką ławę, dążąc wyraźnie do otoczenia wysuniętego oddziału Halvarda. Topornicy dowodzeni przez krasnoluda Bjornira, którzy uderzyli luźnym szykiem, zostali odepchnięci w tył i chyłkiem wycofywali się po wsparcie aż pod wały Ardeny.

Najemnicy uderzyli klinem w prawą flankę konnicy. Kawaleryjskie ciężkie konie, masywne zimnokrwiste akwerony z obrośniętymi pęcunami, nawykłe do huku, wrzasku i zgiełku bitewnego, nie

przejęły się za bardzo bojowymi okrzykami Tryntyjczyków. Ale rozciągnięta linia łatwo ustępowała wstecz i po dłuższej chwili ludzie Ulfa stanęli ramię w ramię z tarczownikami Halvarda. Obaj oficerowie pozdrowili się skinieniem.

- Liiii- nia! – wrzasnął Ulf – Róóów-nać! Naaaaa- przód! – po czym poprawił już normalnie sylabizując – Naprzód! Zepchniemy skurkowańców z powrotem w wodę!!

Jego słowa utonęły w kolejnych wybuchach i w chóralnym okrzyku szeregów. Tarczownicy ruszyli równym krokiem nieustępliwej maszyny bojowej...

Melathriel odgarnęła ręką złośliwy kosmyk z czoła i dopiero po dłuższej chwili, gdy skóra zaswędziała, zdała sobie sprawę, że upaprała sobie czoło krwią wojownika, którego ranę właśnie spajała druidzkim zaklęciem. Ale teraz nie mogła podnieść rąk i przerwać.

- Atale gwaed cysyltu gwytien – wymamrotała, skupiając się ponownie na zaklęciu. Otwarta rana wyglądała paskudnie, ale na szczęście kawaleryjska lanca, która zsunęła się z tarczy, nie uszkodziła ważnych organów. Druidka ślizgającymi się we krwi palcami przytrzymała dwa końce rozerwanej tętnicy - cysyltu gwytien... cysyltu gwytien...- powtórzyła. Ścianki naczyń przylgnęły do siebie, odczekała chwilę i puściła. Krwotok ustał. Westchnęła. Było jej słabo, a trzeba było jeszcze zabliznić ranę i przywrócić utraconą krew - caead brathiad crai corff – wyrecytowała, wydając energię z końcówek palców - gwaed adennill ymchwelyd ...

Cieniutka warstwa skóry, którą pokryła się rana, zapulsowała delikatnie. Melathriel odetchnęła i podniosła rękę. Na sygnał przybiegła jedna z młodzieńskich adeptek, pracujących ochotniczo w lazarecie.

- Zapewnić mu wodę i ciepłe okrycie, pierwsza godzina jest decydująca – powiedziała słabym głosem – To ostatni na dzisiaj, więcej nie dam rady.

- Oczywiście, pani Melathriel – uśmiechnęła się dziewczynka, okrywając nieprzytomnego wojownika wełnianym kocem – Szukał pani hevding Ulf. Czeka na panią przy wejściu.

Druidka wstała opanowując zawrót głowy, normalny po wydaniu na raz dużych ilości energii. Od kilku godzin znoszono do prowizorycznego lazaretu rannych, a oni walczyli o kolejne odchodzące dusze, łącząc na powrót porozrywane tkanki, połamane kości i poparzone twarze, przerwy robiąc tylko na zaczerpnięcie na powrót energii z naprędce zaimprovizowanego obok namiotu kręgu mocy. Byli tylko wdzięczni, że pomimo nadchodzącej wiosny tu, u stóp gór wciąż było zimno, dzięki czemu rany nie gniły zbyt szybko. Za to walczyli co chwilę z błyskawiczną u świeżo wyleczonych hipotermią.

- Jak ty wyglądasz – burknęła, podchodząc do drzwi. Ulf wyglądał jak keshamski górnik, po zdjęciu hełmu oczy okolone miał czarnymi obwódkami, które pozostawiły ognie wergundzkich magików, koleczkę poczerniałą i upapraną krwią – Od kiedy to zostałeś hevdingiem?

- Och och – uśmiechnął się, ogarniając ją ramieniem – Po pierwsze to popatrz na siebie, masz cały pychol w krwi. A po drugie, może jeszcze nie zostałem, ale to kwestia czasu. Rangveig musi wybrać nowych hevdingów, choćby dlatego, że poległo dziś dwóch, Alteifa znieśli z pola w kawałkach prawie...

- Alteif Czarny Grot żyje – przerwała – Cahir, kapłan Herby, poskładał go do kupy, ale on nie prędko z powrotem wyjdzie na pole.

- Porozmawiamy w namiocie, chodź, posiłek czeka...

- Gdzie są jaghany Basyrów? – wrzeszczał Gambaatar, przekrzykując z trudem wicherę – Gdzie oni do cholery są?

- Utknęli w wąwozie przed przełęczą – Uther musiał zdjąć wełnianą osłonę z twarzy, żeby móc w artykułowany sposób coś powiedzieć. Śnieg natychmiast wpadł mu za wełniany kołnierz – Musimy zawrócić!

- Huora äitinsä! – zaklął ciężko łowca w języku plemienia renifera – Ani mi się waż, uzdrowicielu. Prowadź resztę w dół zbocza i znajdźcie miejsce osłonięte od tej francowatej śnieżycy. Thorgrim! – machnął ręką w kierunku przyjaciela – Bierz cztery arbany bojowe i wracamy!

Śnieg zdążył już przysypać szlak, który końskie kopyta zostawiły w stwardniałej śnieżnej powłoce. Nacisnęli głęboko na oczy futrzane czapy, owinęli usta i zawrócili. Gambaatar i Uther skinęli sobie głowami, po czym uzdrowiciel ruszył na czele długiego korowodu konnych w dół, a łowca na czele czterech dziesiątek uzbrojonych po zęby jeźdźców – do góry.

Znaleźli ich za przełęczą, na szerokiej płaskiej połoninie. Kilka dziesiątek Samnijczyków stało w ciasnym okręgu, końskimi zadami do środka, chroniąc w środku juczne wierzchowce, obładowane workami z paszą dla zwierząt. Dookoła nich kłębił się tłum odzianych w futra i grube przesywanice, buro-skórych wojowników. Orki. Na znak atamanów ruszyli na nich, w pełnym galopie zrywając z pleców krótkie łuki przegalopowali przez tłum, roztrzając na boki zdeorientowanych wojowników, po czym bez zawracania dwudziestu jeźdźców odwróciło się w siodłach i wystrzeliło do tyłu. Osiemnastu oszołomionych orków padło na śnieg. Dopiero wtedy jeźdźcy zawrócili i dobyli szabel i jataganów. Otoczeni pierścieniem atakujących orków obłączeni Samnijczycy zahałkowali radośnie i uderzyli ze zdwojonymi siłami.

- Zdychać, sucze syny! – zawył Gambaatar, siekąc z wysokości końskiego grzbietu raz w jedną, raz drugą stronę – Precz!

Wrzask walczących przebijał się przez wycie śnieżycy, rzenie wierzchowców, ryki rozwścieczonych orków. Samniczyzy nie ustawali ani na chwilę, krążąc, uderzając, odskakując aby zatoczyć koło i wrócić znów. Orkowie bronili się bohatersko, żaden się nie cofnął, umierali więc w miejscu, nie będąc w stanie gonić ani osiągnąć jeźdźców. Po kwadransie wreszcie rozległ się dźwięk rogu, gdzieś znad głów walczących. Zanim Samniczyzy opanowali konie, które nagle z niewiadomych powodów spłoszyły się, gotowe do ucieczki, orków już nie było. Konie uspokoiły się, a w uszy ludzi uderzyła nagła cisza, spotęgowana faktem, że nagle przestało wiać. Gambaatar zatrzymał wierzchowca, dysząc ciężko z osłupieniem patrzył na leniwie lecące ku ziemi grube płatki śniegu, przykrywające plamy krwi pod końskimi kopytami.

- Czary czy co...- mruknął, ocierając o mankiet rękawicy ukochany miecz – Gdzie jag – beje?- zawołał do równie zdziwionych obrońców. Spośród Samnijczyków wyszedł jeden z plemiennych przywódców i zgodnie ze zwyczajem powitał go jako dowódcę.

- Jestem Kirył-Daj, ojciec plemienia Basyrów – powiedział – Dzięki, ming-beju, żeś po nas wrócił.

- Zasadzka? – zapytał krótko łowca.

- Tak. Czekali w wąwozie, zakopani pod śniegiem. Kiedy zaczęła się śnieżycy, zgubiliśmy wasz trop, wtedy na nas wypadli.

- Straty?

- Dwudziestu ludzi – policzył naprędce – i cztery konie. I jeszcze sześć jucznych.

Gambaatar zmełł w ustach kolejne przekleństwo i westchnął:

- Od wczoraj jesteście czwartym napadniętym oddziałem – poprawił w zamyśleniu ręką futrzaną czapę

- Thorgrim...? - Nikt mu nie odpowiedział. Rozejrzał się z nagłym uczuciem strachu – Thorgrim...

Odeszli jak najprędzej z połoniny w osłonięte wąwozy, w kierunku, w którym podążyla reszta armii. Odeszli w dzwoniącej w uszach ciszy, konie mięciutko stąpały po świeżym, puszystym śniegu. Zostawili za sobą dwadzieścia jeden małych kamiennych kurhanów. Na jednym, na opartym o pozostałe sporym kamieniu, ktoś wyrył szamański ideogram imienia Thorgrim. Ale wkrótce ten też zniknął pod śniegiem...

Polowy trójkątny namiot, jeden z setek rozstawionych u podnóża warowni Arden, był wypełniony futrami i różnymi przedmiotami obozowego życia. Nie było tam natomiast ani grama rynsztunku bojowego. Z rozkazu księżnej Rangveig obrońcy brodu mogli zdejmować rynsztunek tylko na chwilę, cały czas mając go w zasięgu ręki.

Nad polowym ogniskiem kiwał się zawieszony na łańcuchu kociołek, w nim bulgotało coś, co z wyglądu przypominało rozgotowaną karmę dla psów. Ale dobrze pachniało. Ulf i Melathriel podeszli do siedzącej przy ogniu gromady. Halvard, dowódca tarczowników. Bjornir, krasnolud topornik. Kapłan uzdrowiciel Cahir. Wszyscy trzej z wymalowanymi na twarzy błękitnymi znakami. Obok nich Einar, przyjaciel Ulfa i Melathriel, potężnej budowy Kalbert, jasnowłosy paladyn mrocznego boga i jeszcze kilku, których twarze i imiona kojarzyli z czasów walki o Wolne Miasto na Przełęczy.

Gdy tylko zdążyli usiąść, do ogniska podeszedł jeszcze ktoś. Nie sposób było nie rozpoznać tego człowieka, choćby po platynowo blond włosach w wiecznym nieładzie, spotęgowanym jeszcze przez nieustannie elektryzującą powietrze pod Arden magię. Nerwowymi ruchami obracał w dłoni niewielki buzdygan.

- Scaeva! – wydarł się Bjornir, zrywając się z miejsca, aby uścisnąć przyjaciela, potracił podstawę trójnoga, na którym wisiał kociołek.

- A idź ty w d'yaabl aep arse! – wrzasnął ochlapany gulaszem Einar.

- Zostałeś hevdingiem! – kontynuował niezrażony krasnolud – No niech cię...

- Taaaa, a idź ty – burknął Scaeva siadając – Tak jakbym się o to prosił.

- Mogę się z tobą zamienić – uśmiechnął się ironicznie Ulf, udając, że nie widzi piorunującego wzroku druidki – Ja tam chętnie pomacham tym piernaczem.

- Żeby to takie łatwe było... – szermierz najwyraźniej chętnie odstąpiłby Ulfowi ów przywilej – To w ogóle nie jest znak hevdinga, tylko styrsmana. Jarl Wulfhere Niedźwiedź dostał polecenie przejścia i natychmiastowego wyszkolenia ochotników, którzy zgłaszają się pod Arden. Jest tego już kilka setek. Więc wybrał sobie pięciu stysmanów, w tym mnie. Więc ląduję siłą rzeczy na zapleczu, ucząc gołowąsów, jak się podnosi topór góra –dół. Bo nie mamy takiej ilości mieczy. A wiecie co jest najlepsze? – uśmiechnął się krzywo – Że mamy na to całe dwa dni, po dwóch dniach księżna życzy sobie widzieć ich w boju.

- Kilka setek – mruknął Halvard ponuro – Dobrze i to, ale po drugiej stronie rzeki stoi cały cholerny tyment. Dziesięć tysięcy najlepszych ludzi Elmeryka. A nas tutaj jest raptem cztery tysiące.

- Ale są za rzeką – odezwała się Melathriel – Dziesięć tysięcy ludzi nie przekroczy na raz brodu. Przez wezbraną rzekę nie zbudują mostu. A na świecie nie ma takiej siły magicznej, która przerzuciłaby na drugą stronę rzeki taką armię. Rangveig i jej jarlowie dobrze wiedzą, że jeśli utrzymamy się tutaj jeszcze kilka dni, lada chwila zobaczymy buńczuki Samnijczyków.

- Oby zdążyli – westchnął Cahir – Bo leczymy już resztkami sił...

- Samnijczycy są pięć dni drogi od nas ...

Zgromadzeni podnieśli głowy w mrok, z którego wyszła niewysoka kobieta, zdejmując z głowy bury kaptur zwiadowcy.

- Nila! – Bjornir poderwał się, sprawiając że wszyscy odruchowo odsunęli się od kociołka – Nila, dziecinko, wróciłaś!

- Wróciłam – uśmiechnęła się tropicielka, wyzwalając się z uścisku krasnoluda – Cały podjazd wrócił. Samnijczycy przebili się przez góry!

- Nareszcie! Sława! – rozległy się radosne okrzyki, wojownicy unieśli do góry kubki i rogi w geście toastu – Sława! Wytrzymamy!

- Wracam od księżnej właśnie – kontynuowała Nila – Mnóstwo dobrych wiadomości. Po pierwsze to, co już powiedziałam. Samnijczycy nadchodzą w sile dwóch tysięcy, przebili się przez orków i przez zaśnieżone przełęcze. Prowadzą ich Gambaatar i Uther Seranis. Musimy wytrzymać jeszcze tylko kilka dni. Dlatego księżna tak pili w szkoleniu ochotników, kiedy przybędą koczownicy, przypuścimy atak z obydwu stron rzeki, utopimy całą ich przeklętą armię – jej słowa przerwały na chwilę kolejne radosne toasty – A do tego, nie wiem czy wiecie, wreszcie odpowiemy im właściwie na ten cholerny ogień magiczny. Nastia, czarodziejka, razem z resztą magików szykują jakieś dziwności...

- Jesteśmy w stanie wznieść taką barierę, ale tylko na krótko – jasnowłosa czarodziejka starała się dokładnie dobrać słowa, tak by rzecz była zrozumiała dla laików. I by uniknąć nieporozumień – To wymaga wielkiej mocy, a nas jest tu tylko kilku. Po drugiej stronie rzeki kazali usypać kamienne wały, za którymi magowie osłonięci mogą w spokoju ciskać zaklęcia. Podobne wały powinniśmy mieć i tutaj, ale jedyne co mamy, to faszynowe płotki, które palą się jak słoma przy ich ataku.

- Nie jesteśmy w stanie przydzielić wam ludzi do budowy osłon – odezwał się poważnie jarl Leif Einarsonn – Kto nie walczy nad brzegiem, ten albo leczy, albo jest leczony. Nie mam ludzi, pani czarodziejko.

- Wiem. I dlatego nie jesteśmy w stanie wesprzeć was magią znad brzegu – odparła Nastia – A zaklęcia rzucane z wałów warowni nie mają szans dosięgnąć drugiego brzegu.

- Trudno – odezwała się w końcu milcząca dotąd Rangveig – Musimy odpowiedzieć na ten ich cholerny ogień, ludzie padają jak muchy od poparzeń. Jeszcze kilka dni. Przed chwilą wrócili zwiadowcy, musimy utrzymać się jeszcze kilka dni. Wydzielić trzy dziesiątki ludzi spośród ochotników, niech kopią pod osłoną nocy. Dajcie magom przynajmniej osłonięte ziemnym wałem okopy.

- Twój rozkaz, pani – jarl skłonił się i wyszedł z namiotu, za nim podążyła jasnowłosa magiczka i pozostali czarodzieje.

Amadeo owinął się szczelniej burozielonym wełnianym płaszczem. W myślach zdążył wyrecytować wszystkie znane mu, jak i właśnie wymyślone w ojczystym języku przekleństwa pod adresem tych okolic i tego, co tutejsi nazywali wiosną. W Ofirze już od dawna kwitły magnolie w pałacach kratistosów, a ludzie siadywali na ławach w parkach i sączyli gronowe, valickie wino w promieniach słońca. A tu, niech to szlag...

Rangveig i jej jarlowie wysyłali rekonesanse w górę rzeki, obawiając się schodzących z gór oddziałów orków, ale przede wszystkim chcąc wypatrzeć nadciągającą armię samnijską, której wszyscy wypatrywali jak zbawienia. On, Amadeo, też wypatrywał jej jak zbawienia, zbawienia od leżenia na przymarzniętej ziemi i odmrażania sobie uszu na zwiadowczych rekonesansach. Gwizdnął cicho, żeby sprawdzić obecność pozostałych zwiadowców, i policzył odpowiedzi. Jeden gwizd. Drugi. Trzeci. Czwarty. Piąty.... Piąty.... Wstrzymał oddech w oczekiwaniu na znak od szóstego z oddziału. Ponowił wezwanie. Cisza. Zaklął w myślach i podniósł się do przysiadu. Truchtem na tyle cichym, na ile pozwalały zeschnięte zeszłoroczne liście, ruszył w kierunku brzegu rzeki.

Najpierw zobaczył linię. Wygiętą w literę J linię przecinającą nurt rzeki po ukosie, którą szybko zidentyfikował jako konopną linię.

- Co do jasnej psiakrwi...- mruknął półgłosem, pozwalając sobie na odzywkę, której i tak w pobliżu huczącego nurtu nikt by nie usłyszał. Podszedł bliżej i wychylił głowę zza załomu. Lin przerzuconych przez rzekę było kilka, jedna obok drugiej, wzdłuż nich dostrzegł ciemne punkty, głowy ludzi, przepływających się przez rzekę. Na przeciwnym brzegu dostrzegł kolejnych, a po chwili kilka błysków rzucanych zaklęć. Chcąc zobaczyć co się dzieje na jego brzegu, tam, gdzie liny dobiegały do

brzegu, przeskoczył przez ziemną brudę... i potknął się o ciało kolegi z oddziału zwiadowczego. Żarty się skończyły. Zimno jakoś zniknęło, nagle uderzenie adrenaliny spięło mięśnie tropiciela. Podniósł się, żeby wrócić za załom, a potem biegiem na złamanie karku do dowódców.

...

- I już nigdzie nie pobiegiesz – mruknął wergundzki zwiadowca wycierając zakrwawiony nóż w burozielony wełniany płaszcz wroga. Podniósł się i machnął ręką. Przez zarośla chyłkiem pobiegli buro odziani i opatuleni ludzie. Trzeba było ich rozruszać, wszak dopiero co przebyli rzekę.

- Ilu jest tych pływających? – Elmeryk, który zostawiwszy dowodzenie walką na brodzie, osobiście pilnował desantu, zaciskał szczęki, usiłując o niczym nie zapomnieć, jednocześnie jak najszybciej zacząć. Od walki odciągnięte zostały całe cztery kohorty, gdyby jakimś przypadkiem w tej chwili zostali zaskoczeni przez nadjeżdżających Samnijczyków, pod znakiem zapytania stanęłoby nie tylko zwycięstwo, ale bezpieczeństwo całego tymenu.

- Pięciu – odpowiedziała krótko dekurion – Najpierw przepłynie jeden z liną, a potem pozostali. Lino są gotowe, zanim dotrzemy na drugi brzeg, będą gotowe tratwy na sprzęt.

- Dotrzecie?...

- Tak jest. Wasza Wysokość, pochodzę z Kymeru, płynę jako druga..

- Jasne. Tratwy?

- Tak jest. Dwa rodzaje. Powiązane ze sobą nadmuchane skórzane bukłaki. Można na nich przewieźć człowieka. Na nich przierzucimy magów ognia, będą potrzebni, żeby zapobiec wymarznieniu żołnierzy, a razem z nimi przierzucimy też ciepłe płaszcze i inne, zawinięte w skóry, żeby nie zamokły. Za nimi, jako pierwsza pójdzie trzecia centuria, z szarej kohorty...

- Zwiadowcy? – przerwał władca – Po co aż centuria?

- Żeby osłonić szerokim wachlarzem miejsce lądowania, nikt nie może przecież nas zobaczyć, a na pewno mają wystawiony zwiad w tym kierunku. Rozstawimy ich aż po tamten zakręt – oficer wskazała ręką załom rzeki – Żaden zwiadowca nie podejdzie bliżej.

- Dobrze. Dalej?

- Po przeprowieniu lekkich przierzucimy większe tratwy. Uniosą po pięciu ludzi z uzbrojeniem, mamy metalowe obejmy zrobione z uchwytów przy koniowiążach, za cich pośrednictwem tratwy są przymocowane do lin, żeby się przesuwają, ale żeby nie powodować za dużego tarcia. Jeśli ktoś wypadnie z tratwy, zostanie wyłapany przez niższą linę. Przeprowa będzie szła dziesięcioma linami na raz, ostatnia, jedenasta będzie dodatkowo uzbrojona w sieć z ciężarkami.

- Po co?

- Jeśli coś pójdzie nie tak, żadne ciało nie może spłynąć w dół rzeki. Sieć wyłapie wszystkich, podobnie i sprzęt.

- Dobrze. A cięższe jednostki?

Dekurion wzięła głębszy oddech.

- Zawiesimy most.

Elmeryk uśmiechnął się z niedowierzaniem, stwierdzając w myślach, że albo powierzył zadanie doskonałym ludziom... albo kompletnym szaleńcom.

- Jaką siłą chcecie naciągnąć konopne liny tak mocno, żeby można było położyć most? – powiedział.

- Ekhm... końską – chrząknęła oficer – Most będzie zawieszony z tamtej skały, dziesięć metrów nad powierzchnią wody. Liny naciągniemy z pomocą koni. Liny będą szły do tych wielkich drzew na tamtym brzegu.

Elmeryk spojrzał krytycznie we wskazanym kierunku.

- Przecież one są dużo niżej, liny będą opadały pod sporym kątem. Po tym się nie da przechodzić.

- Bo on nie będzie do przechodzenia. Będzie do przeciągania przeciągania.

- Co....?

- Do przeciągania – dekurion wzięła głęboki wdech – Żołnierz zawieszony na taśmach od końskiej uprząży i przypięty za metalowe kółko najpierw grawitacyjnie zjedzie w dół, a potem ludzie z drugiej strony wciągną go na brzeg. Tak przeprowimy przez noc przynajmniej stu ludzi. Oprócz tego część ciężkozbrojnych, na cięższych tratwach, żerdzie zamocowane na workach spławnych. I jeszcze konie....

Elmeryk otworzył szeroko oczy.

- Chcesz przeprowić kawalerię??

- Można przeprowić przynajmniej jedną turmai lekkiej jazdy – odpowiedziała szybko oficer – widziałam kiedyś Samnijczyków, jak tak robią, wokół konia skórzane nadmuchane worki, a jeździec płynie za końskim ogonem. Łącznie uda nam się przez rzekę przeprowić przy sprzyjającym szczęściu jakieś półtora tysiąca ludzi i kilkadziesiąt koni.

Książę wziął głęboki wdech. To, co zaprezentowali jego żołnierze, przeszło jego oczekiwania. Uśmiechał się mimo woli.

- Jeśli to się uda... – powiedział w końcu – Gdzie jest Beomar?

- Magnifer jest nad brzegiem, zarządza wszystkim. Ja płynę z pierwszymi linami, moja kohorta płynie jako pierwsza po magach i zwiadowcach.

- Jeśli to się uda, ozłocę go. I was razem z nim.

Stali nad brzegiem w pięcioro, ubrani tylko w lekkie tuniki, a niektórzy w przepaski biodrowe. Ciała dokładnie i obficie wysmarowali oliwą, a potem zwierzęcym smalcem. Każdy był obwiązany w pasie liną, której dalszy ciąg leżał zwinięty w jednym z pięciu wyklarowanych zwojów na brzegu. Czworo okrytych z wierzchu futrami. Jeden gotowy do skoku w wodę, tylko w przepasce, wysoki mężczyzna o muskulaturze takiej, jak mają kapłani uczestniczący w zawodach siłowych ku chwale swych bogów, albo kowale całe życie uderzający ciężkim młotem. Ten został wybrany na pierwszego, bo był ciężki i niezwykle silny. I miał całkiem sporawą warstwę tłuszczową, dzięki czemu miał szansę nie poddać się zbyt szybko hipotermii. Wszyscy patrzyli na buro-szarą ryczącą toń.

Stojący za nimi oficer z oznaczeniami magnifera skinął głową. Ten, który był gotowy do ruszenia, powoli wszedł w nurt, dotknął dłonią wody.

- Modvit tede me, Modvit styrkur gefe me.... – wyszeptał po wergundzku i skoczył. Nurt natychmiast porwał linę, ale pływacy nie walczyli wcale z nurtem. Pozwolił znieść się w dół nie podejmując żadnego wysiłku, naturalnym ruchem wody. Dopiero kiedy znalazł się na środku rzeki, podjął walkę z prądem. Nie tracąc sił na skracanie sobie drogi, pozwalał falom nadal nieść się w dół, ale jednocześnie ustawiony twarzą do brzegu na kilka metrów w dół pokonywał metr w poprzek nurtu. Z każdą chwilą jeszcze jeden, choć raz na czas zdawał się zawisać w miejscu. Każdy kolejny metr coraz wolniej. Tylko stojący na brzegu kolejni pływacy wiedzieli, ile go kosztuje każdy centymetr oddalenia od środka nurtu. Wiedzieli, że w tej chwili błogosławi lodowaty chłód wody, bo spięte do granic możliwości mięśnie wydają się palić żywym ogniem. I jeszcze to, że jeśli zepnie je za bardzo, to złapie go skurcz i przegra. Przegrał około pięciu metrów od brzegu. Zobaczył go za późno, mając głowę na poziomie wody. Pływacy z nurtem spory pień uderzył w pływaka jednym końcem, zahaczył linę, pociągając go kilka metrów za sobą, w kierunku wystających z wody wielkich głazów. Ten zachłysnął się wodą, fala zalała mu twarz, bezwładnie spłynął kilka metrów w dół i na chwilę zniknął pod wodą. Pień prześlizgnął się wierzchem fal, minął kamienie, obserwujący zobaczyli, jak pływak wynurzył się i powoli z ogromnym trudem ruszył do brzegu. Zatrzymał się na wielkiej leżącej w wodzie gałęzi, którą zdążył złapać jakimś niewyobrażalnym fartem. Wczołgał się na nią i został tak na dłuższą chwilę. Stojący na brzegu nerwowo przygryźli wargi, obawiając się cieszyć. Jeśli pień przygniół go do jednego z kamieni, pływacy mógł być już martwy. Po kolejnych sekundach podniósł się jednak na rękach i przeczołgał po pniu kilka metrów w górę. Zwalone z podmytego brzegu drzewo korzeniami wciąż tkwiło w błotnistej skarpie. Dotarł tam na czworaka, ciągnąc za sobą ciężką linę, po czym zeskoczył prosto w błotnistą nadrzeczną maź, zanurzając się do pół uda. Rękami chwytając się kolejnych chabazi brnął pod górę metr za metrem, aż w końcu dotarł do wyznaczonego miejsca z dużym drzewem o nagim pniu, wyczołgał się na brzeg, okrążył drzewo dwa razy i dopiero wyjął z buta nożyk i odciął się od liny, drżącymi rękami wiążąc jej koniec w węzeł na drzewie.

Następna skoczyła w fale, zanim zdążył zawiązać. Do pleców miała przywiązany zawinięty w skóry ładunek. Nie płynęła z nurtem, tylko trzymając się ramionami i nogami liny poprzednika przesuwała się wzdłuż niej. Przebyła odległość w czasie o połowę krótszym, niż pierwszy pływak i wyszła z wody tuż przy nim. Leżał pod drzewem nieruchomo. Kobieta, nosząca plemienny kymeryjski tatuaż, musiała się wychować nad górnym biegiem Sankary. Musiała więc wiedzieć, jak wygląda człowiek umierający z wychłodzenia, niemożliwym jednak było, żeby efekt hipotermii spowodował wyłącznie kontakt z zimną wodą. Zanim wzdłuż liny przepłynęli następny z kolejnymi linami, Wergundka doskoczyła do pływaka i uderzyła go lekko w twarz.

- Wstawaj! – krzyknęła, obawiając się, że to odrętwienie z wychłodzenia – Wstawaj natychmiast! – Mężczyzna powoli otworzył przekrwione oczy, ale się nie podniósł. Oddychał chrapliwie, lekko rżąc. Zrzuciła z siebie pakunek i wydarła z niego szorstki koc z niegładzonej wełny, pochyliła się blisko nad nim, żeby okryć go kocem i zobaczyła krew, jasnoczerwoną pianistą strugę, sączącą się z ust mężczyzny. Delikatnie ucisnęła dłońmi klatkę piersiową, poczuła pod palcami chrobot przesuwających się żeber. Oddychał z coraz większym trudem, ledwo łapiąc powietrze

- Powiedz... – wyszeptał z wysiłkiem – Obiecuj, że wygracie...

- Ani mi się waź! – syknęła, próbując wyprostować mu tułów. Z ust popłynęła mu fala krwawej piany, a Wergundka zrozumiała, że trzyma w ramionach trupa. Zmówiła formułkę za zmarłych i pochyliła głowę – Obiecuję, przyjacielu. Obiecuję – wyszeptała – Zapowiedz nas w krainie Morta....

Zanim ciało pływaka spoczęło w naprędcie wykopanym płytkim grobie, przez rzekę przewieszało się już jedenaście grubych, potrójnych lin, wysmarowanych woskiem, by nie nasiąkły wodą i nie przecierały się za bardzo. Zanim grób został przysypany, znad brzegu wybiegli szykiem w kształt wachlarza zawinięci w przewieszoną na bukłakowych tratwach wełnę tropiciele z szarej kohorty, jak nazywano w każdym manipule jednostkę zwiadowczą. Półkolem otoczyli miejsce ładowania i zalegli w zaroślach. Desant trwał.

W ponurym zamyśleniu położyła przez sobą okularowy hełm. Podciągnęła do góry kolczugę, żeby zapiąć pas z mieczem. Naciągnęła powoli jeden i drugi karwasz z rytowanym gryfem.

"Przeszli rzekę" – huczało jej w głowie zdanie wykrzywane przez przerażonego posłańca. Wergundowie przeszli rzekę. Wpław. Wezbraną i lodowatą Ranę. Wpław... Zaciągnęła sznurowanie karwaszy. Co to za człowiek... Jak mogła go zlekceważyć... Ale przejście rzeki było niemożliwe. Ilu ludzi musiał poświęcić na tej przeprawie... Przeprawili też kilkadziesiąt koni. Najdalej za godzinę uderzą od północy, pełne dwie kohorty, z czego jedna ciężka. Ponad tysiąc żołnierzy. Bój na brodzie już trwał, zza białych płacht namiotu słyszała wybuchy, uderzenia magicznych wyładowań, i trzaskanie pocisków, głośniejsze niż krzyk walczących o bród ludzi. Rzuciła okiem przez ramię, na leżącą na stole dużą mapę z tysiącami małych znaczków. Całonocna narada jarłów dała tylko jedną odpowiedź – jeśli nie nadejdzie pomoc, są skończeni. Od świtu wszyscy wyglądają chorągwi Samniczyków. Może zdążą... Zapięła prawy naramiennik. Jak mogła do tego dopuścić... Sprawdziła ułożenie miecza, naciągnęła rękawice. Ujęła hełm pod pachę, wzięła głęboki wdech i rozchyliła poły namiotu.

Powitał ją chóralny okrzyk. Wokół kręgiem stali jej jarlowie, a za nimi jej cały hird, doborowa jednostka zawodowych wojowników, najlepsi w całym Przedgórzu.

- Wulfhere – zaczęła, zwracając się do jednego z jarłów – Wszystkich ochotników pchniesz do obrony brodu, niech zastępują poległych. Thorulfie. Wszystkich pancernych od naszego lewego skrzydła, tam, gdzie ustawili sobie pomosty dla magów. Wy wytrzymacie ogniste poddmuchy. Ludzie Ragnara i Sturli niech dadzą odpór tym, którzy przeszli rzekę. Reszta wie, co ma robić – jarlowie skinęli w milczeniu głowami – Leif – księżna zatrzymała jarla ruchem ręki. Popatrzył na nią pytająco – Nie będziesz dzisiaj dowodził Hirdem Gryfa. Poczekaj – uprzedziła jego niedowierzający wzrok – Posłuchaj mnie

uważnie. Weźmiesz wszystkich swoich ludzi i konie i gdy dam znak, gdy będzie już jasne, że tu przegramy, wróćcie do Askaronu. Postaraj się utrzymać miasto najdłużej, jak się da. Wiem, że nie będzie to możliwe zbyt długo, ale spróbuj utrzymać się chociaż dwa miesiące. Może siły się odwrócą. Kiedy stolica padnie... A jeśli przegramy, padnie z pewnością... uratuj tylu ilu się da. Ciiii, nie nie mów, to jest rozkaz. Uratuj tylu, ilu się da i walcz tak długo, jak zdołacie. Może dotrzwacie do chwili, kiedy wiatr się odwróci.

Jarl wyglądał, jakby uderzono go w twarz. Widać było, że walczy ze sobą, bo jednocześnie rozumiał sens tego rozkazu, i jednocześnie nie potrafił się z nim pogodzić.

- Pani, to ty weź Hird i jedź bronić stolicy...

- Nie. Dziedzic Gryfa nie pójdzie w niewolę, bo to załamałoby naszych ludzi. Dzisiaj ja sprawię, by mieli pamięć, którą mogą czcić. Ty spraw, by ta pamięć poszła dalej. Nie wolno ci zginąć ani tutaj, ani w Askaronie. Przysięgnij. Nie, nie tak. Złóż przysięgę na miecz....

Leif westchnął głęboko, jak ktoś zupełnie zrezygnowany. Dobył miecza i ułożył go w rytualnej pozycji, głowicą ku władczyni, ostrzem do ziemi.

- Przysięgam ci, Rangveig z Tradamonitów, że ocalę wszystko, co będzie możliwe do ocalenia z Księstwa Tryntu. I przeżyję. Tak długo, jak będzie trzeba.

Westchnęła i dotknęła dłonią głowicy na znak dotknięcia przysięgi. Leif wstał i bez słowa w pośpiechu odszedł między wojowników. Rozumiała. Błogosławiła los, że to nie jej wydano ten rozkaz. Przyboczny podał jej lejce. Poglądziła po chrapach ulubionego wierzchowca z czułością. Popatrzył na nią, jakby rozumiał, że więcej już tego nie uczyni. Wskoczyła na siodło, podano jej hełm, który założyła. Otaczający ją wojownicy rozstąpili się wjechała w szpaler hirdmanów.

- Gryf! Gryf! Gryf! – zaskandowali, uderzając rytmicznie w tarcze, gdy podniosła do góry miecz w geście siły. Nad jej głową rozpostarto złoty proporzec z czarnym stojącym gryfem. Jej Wysokość Rangveig z rodu Tradamonitów, Pani na Askaronie, księżna Przedgórza Tryntyjskiego....

Magnifer Beomar z Modrevregu poprawił ugniatającą w łopatki kolczugę. Po przeprawie, jak zresztą znakomita większość jego ludzi, wciąż trząsł się z zimna. Wyszuszone falą ciepła przez magów spodnie odzienie nadal nie było suche tak, jakby tego chciał. A wiosna w tych cholernych górach, pomyślał, bardziej przypomina środek zimy w Akwirgranie. Obejrzał się wstecz, przez rzekę wciąż przeprowiały się kolejne jednostki. Uśmiechnął się krzywo na myśl o tych, którzy spotkanie z wodą Rany mieli dopiero przed sobą. Potem zerknął na swoich ludzi. Był dowódcą manipułu, jego jednostka licząca łącznie 3 tysiące ludzi, w tym połowę konnych, była dumą prawej flanki Pierwszego Tymenu. Na tym brzegu jednak ze swoich lotnych oddziałów kawalerii miał tylko niespełna setkę, do tego coś ponad tysiąc średnio i ciężkozbrojnej piechoty. Ale za to najlepszych.

Potem spojrział na kłębiący się poniżej nich obóz Tryntyjczyków. W porannej mgle dźwięczały rogi, grzmiały gongi, wrzeszczeli oficerowie. Zza rzeki wyły trąbki, Wergundowie ruszali do kolejnego szturm na bród.

Słońce wstawało gdzieś za ich plecami znad poszarpanego łańcucha Silberu.

- Leć do dekurionów – odezwał się do adiutanta – Ruszamy.

Na drugim brzegu wyraźnie dało się słyszeć bojowe surmy. Ulf wiedział, że pierwsza jak zawsze pójdzie wyśmienita wergundzka konnica, opancerzona po same uszy. I ich się nie obawiał. Obawiał się tego, czego nie wiedział.

Świt nad górami, zwyczajem wszystkich świtów północy, wstawał wilgotny, mglisty i chłodny. We mgle trudno było odróżnić poszczególne jednostki wroga. Dopiero, kiedy zobaczył wielką chorągiew z trzema księżycami, herbem Dakonii, zrozumiał, że pancerna konnica to ich najmniejszy problem.

Wergundzka jazda wbiła się w linię tarczowników jak taran. Siekąc z wysokości siodła, opancerzeni jeźdźcy wycinali sobie drogę w kierunku tylnych oddziałów.

Co chwila przez zgiełk, łomot tracz, kwik wierzchowców, krzyki padających, przedzierały się wrzaski oficerów.

- Zewrzeć tarcze! – wrzeszczano po tryntyjsku – Dalej, szereg! Nie przepuścić ich! Dalej, na pohybel! Gryf górą!

- Naprzód, po sławę! – krzyczeli oficerowie 15. konnej kohorty zwanej "białą", od białych znaków malowanych na hełmach – Naprzód! Dalej, przedrzemy się! Nasze zwycięstwo! Naprzód!

Tarczownicy z tylnych szeregów zapierali się o plecy tych przed nimi, usiłując nie dopuścić do cofania szeregów. Pierwsze szeregi, trzymając okrągłe tarcze niemal poziomo nad głowami, usiłowały napierać na konne szeregi. Jedno i drugie było skazane na porażkę. Przez zgiełk przebił się głos surmy i konni rozpoczęli swój manewr. Klin, dotychczas wbijający się w głąb szyku piechoty, nagle pękł na dwoje, jeźdźcy naparli na zewnętrzne strony klina, spychając przed sobą broniącą się z trudem piechotę. Między nimi powstała pusta przestrzeń, i Halvard, dowodzący tym odcinkiem, w końcu dojrzał to, czego nie mógł zobaczyć zza końskich brzuchów. Przez bród Arden przeszła ciężka piechota dakońska. Uzbrojeni w ogromne wygięte pawęże, odziani w krótkie kolczugi, stalowe karwasze i naramienniki, sprawiali wrażenie czegoś w rodzaju bojowej maszyny. Szli rytmicznie, krok za krokiem, nieubłaganie. Gdy pierwszy szereg uderzył w Tryntyjczyków, rozległ się ciężki chrzęst. Dakończycy parli dalej, wspierani po bokach przez szalejącą kawalerię.

Halvard westchnął i odwrócił się do przybocznego.

- Nie utrzymamy sami. Leć po posiłki.

- Jak to zabrakło kocy? – Cahir od wykrzykiwania komend i recytowania psalmów prawie całkowicie zachrypł, ale wciąż było go słychać w całym lazarecie – Po jaką cholere składałem mu te żebra, skoro teraz umrze z powodu szoku, co? Mają się znaleźć koce! Teraz! Tak, do jasnej nieprzemakalnej, wiem, że krew mi idzie z nosa! Zabieraj ten bandaż w jasną cholere! Co to jest? Nie, krwotok do druidki. Melathriel, bierz go! Połamane kości? Nie dam rady, do chirurga z nim! A ten... – kapłan westchnął w połowie słowa – Temu już nikt z nas nie pomoże. Następny!

- Tarczownicy Halvarda potrzebują wsparcia! – wydyszał ciężko posłaniec. Bjornir splunął.

- Naprawdę, niezwykle zabawne – warknął przez zęby. Tuż przed nim pancerny szereg toporników niezłomnie trzymał linię, nie dając się zepchnąć znad brzegu.

- Nie utrzymają linii! Dakończycy przeszli rzekę! – wyrzeszczał goniec załamującym się głosem. Zagłuszył go piorun, który niespodziewanie uderzył kilka metrów od nich.

- Patrz, cholera! – Bjornir ze złości prawie opluł sobie brodę – Widzisz? Przeprowadzili magów, którzy mi tu walą tym świństwem z bliska! A my się nie cofnęliśmy! Ani na krok! Czy to moja wina, że tamci nie wytrzymali? Szlag psiakrew...!! – wydarł się takim głosem, że przekrzyczał zgiełk potyczki, przez krótką chwilę, bo sekundę później głos krasnoluda utonął w wielkim huku. W tarczy obrońców uderzyła fala powietrza, niosąc ze sobą rozpyloną brudną wodę i żwir, tak, że przez chwilę myśleli, że rzeka wystąpiła z brzegów przeciwko nim. Kto nie zdążył osłonić się tarczą i zaprzeć na nogach, padał z zakrwawioną twarzą. Pierwsze szeregi utrzymały się na nogach tylko dlatego, że oparły się o tarcze kolegów za plecami. I wtedy ich usłyszeli. Krok, krok, krok! Rytmicznie, nieludzko, nie do zatrzymania... Tarczownicy nie zdążyli jeszcze podnieść się na nogi, w ślad za wichrem i oślepiającą kanonadą drobinek wody i ziemi wyłoniła się uzbrojona po zęby dakońska piechota. Równy zaśpiew komend przedarł się przez świst wichury i wrzask obrońców, i przez huk, który uderzył w niebo gdy wielkie, okute żelazem pawęże uderzyły w okrągłe tryntyjskie tarcze.

W zgiełku i łomocie, wśród padających wojów, Bjornir odwrócił się, chcąc odnaleźć wzrokiem gońca i wysłać go po pomoc do stojącej na wzgórzu tryntyjskiej kawalerii. Nie znalazł. Zanim jednak odwrócił się twarzą do przeciwnika, padł uderzony ogromnym dakońskim buzdyganem.

- Sunte denake tes, feskarr rasset – wysapał czarodziej – Osłona! Dalej, niech ktoś założy osłonę! – krzyknął, uchylając się przed gwiżdżącym pociskiem

Kobięcy głos za jego plecami wyrecytował formułę i po chwili dało się słyszeć sugestywne trzaskanie, a wszystkim obecnym włosy uniosły się od naładowanego powietrza.

- Nie wytrzymamy tu dłużej – zawołała Nastia zbierając się spod ziemnego wału cała umorusana świeżą ziemią – Przed chwilą posłałyśmy tam cztery błyskawice. Wszystkie odbili. Oni są... To naprawdę nie nasz poziom. Są zbyt potężni...

- Jeśli nie osłonimy tarczowników i brzegu...

Słowa czarodzieja przerwały coraz głośniejsze trzaski. Brzmiały jak stukot podków na kamiennym bruku. Wszyscy w okopie podnieśli wzrok ku górze. Bariera rozbłysła tysiącem kolorów...

Po drugiej stronie rzeki, na wale magików, wergundzka czarodziejka otrzepała o płaszcz zdrętwiałe dłonie, patrząc z satysfakcją na tęczone rozbłyski na przeciwnym brzegu.

- Co zrobiłaś?

Uśmiechnęła się oszczędnie.

- Posłałam wzmocnioną podwójną falę energii w tą ich barierę. A potem grad kamieni....

- Dlaczego do cholery Halvard nie wzywa wsparcia! – wrzasnął Kalbert. Ciężki podkuty wierzchowiec, reagując na gniew jeźdźca, zadrobił nerwowo kopytami – Przecież ich zgniotą!

- Nie było rozkazu, paladynie!

- Ślepy jesteś? – Kalbert był człowiekiem z gruntu spokojnym, a nawet flegmatycznym, ale konieczność obserwowania ze wzgórza, jak dakoński walec zgniata kolejne broniące brzegu jednostki, była zdecydowanie ponad jego nerwy – Przecież nikt ich nie zatrzyma!

- Czekamy na rozkaz...

Kalbert zgrzytnął zębami.

- Tylko Swart mi rozkazuje! Trąbić!!

Z dwóch boków szyku rozległy się rogi, szereg wyrównał się, jeźdźcy szybkimi ruchami poprawiali rynsztunek. Kalbert ostatni raz przejechał przed szeregiem, uderzając podniesionym mieczem w pochylone lance, udzielając błogosławieństwa i żegnając się. Wreszcie stanął na środku szyku, dał znak mieczem nad głową i ruszył...

Zaczęli od stępa, zanim weszli w kłus, szyk zaczął się rozwijać. Gdy szli już galopem, uformowali ostry klin, skierowany jak ostrze ogromnej lancy prosto w żelazne szeregi Dakończyków. Ziemia zadrżała pod uderzeniami kopyt, w powietrze poniósł się łopot proporców. Przed nimi szeregi pancerniej piechoty w pośpiechu formowały szyk... A oni lecieli jak ogromny taran i każdy patrzący wiedział, że nic ich nie zatrzyma.

- Jazda ruszyła! – wrzasnął ktoś, zeskakując ze świeżo zdobytej ziemnej barykady na tryntyjskim brzegu. Torgund, który uchodził za nieformalnego dowódcę wergundzkich magów bitewnych, zmrużył oczy i uśmiechnął się:

- To doskonała wiadomość – powiedział – Nie będzie trzeba fatygować się do nich. Na wał! Wszyscy! Czterostopniowa fala żywiołów!

Rozpędzony klin kawalerii nieubłaganie zbliżał się do zwartej linii Dakończyków. Konie darły ziemię spod kopyt, jeźdźcy zaparci w siodłach, opuścili przed siebie lance. Wiedzieli, że sile uderzenia nie oprze się żadna ludzka armia... Ale nie armia żywiołów.

Fali powietrza, która wyszła im naprzeciw, nie mogli się spodziewać. Siła podmuchu zrzuciła z siodła tych, którzy nie zdążyli przylgnąć do końskich szyi. Kilka koni padło, oślepionych niesionymi przez wichurę ostrymi kamieniami, ale reszta parła naprzód ze świstem i łomotem pokonując żywioł. Dakończycy zaparci mocno na nogach, wyglądali zza tarcz, podziwiając magiczny spektakl, w kawalerię uderzyły ogniste pociski i deszcz lodowych strzał, zadrżała ziemia. Przez chwilę od strony piechoty widać było jedynie wielką chmurę pyłu, języki ognia i pryskającą w górę rozrzuconą ziemię, przez niewyobrażalny łomot przedzierał się wizg koni, krzyk ludzi i huk kolejnych piorunów. I kiedy już wydawało się Dakończykom, że przez piekło, które nagle otworzyło się przed ich oczami, nie da rady przedrzeć się żadne żywe stworzenie, zobaczyli ich. Spomiędzy dymu i pyłu, osmaleni i pokrwawieni ukazali się jeźdźcy, w pełnym cwale, odrzucając połamane drzazgi lanc wydobyli długie, proste koncerze. Pędzący na przedzie, w kolczudze okrytej czarnymi znakami paladynów Swarta, uniósł miecz nad głowę wrzeszcząc coś. Gdzieś w pandemonium zgubił hełm i długie jasne włosy rozwiały się w galopie.

Jeźdźcy uformowali szyk i w pełnym pędzie uderzyli w szereg zszokowanych Dakończyków jak nóż wbija się w miękkie masło. Obalając ich na ziemię razem z pawężami, siekąc z góry jak szaleni, parli do przodu... Aż zamknęły się za nimi jak woda nad tonącym szeregi piechoty... Bo przez płonące piekło nie przeszło ich więcej niż kilkudziesięciu...

Poszła dzielna nasza jazda

Poszli jeźdźcy niczym diabli

Jak stalowa ostra drzazga

Jak błyszczące ostrze szabli...

I widziano jak lecieli

Pędem wielkim i szalonym...

I widziano jak tonęli

W morzu wrogów niezmiernym...

Scaeva serdecznie nienawidził tej roboty. Ostatecznie był mistrzem szermierki, miał uczyć finezji, wpajać adeptom piękno i harmonię walki. Tymczasem przyszło mu uczyć narwane szczeniaki, jak ruchami przypominającymi młóckę zboża, odepchnąć wroga jak najdalej.

Ale w tej chwili zupełnie zapomniał o tym, jak daleko od jego ukochanej wyrafinowanej sztuki się znalazł. Teraz cała jego uwaga skupiona była na tym, żeby opanować drżenie zdenerwowanego głosu. I żeby znaleźć słowa, właściwe słowa, takie, które trafią. Dziwnym trafem wywietrzały mu nagle z głowy wszystkie dumne, pompatyczne przemówienia wielkich wodzów, które znał z historycznych lektur. A miał tylko jakieś kilka minut. Tyle czasu, ile zajmie pędzącym na przeciw nim Wergundom dotarcie do ich linii. Teren w górę rzeki lekko się podnosił i teraz jak na dłoni widzieli pędzące w dół oddziały Wergundów, te, które przeprawiły się przez rzekę.

- Słuchać, cholera! – zawołał w kierunku rekrutów, którzy dreptali coraz bardziej nerwowo w miejscu – Słuchać! Przyszliście tutaj sami, nikt wam nie kazał - przerwał na chwilę, żeby spojrzeć na linię wergundów, sporo bliższą niż kiedy zaczynał mówić. I na miny podopiecznych, wcale nie bardziej bojowe niż przed chwilą. Odchrząknął - Przyszliście, bo jesteście ludźmi wolnymi. Przyszliście tu i podjęliście wybór...

Świetny wybór, przemknęło mu przez myśl, bez przygotowania, bez porządnej broni, stanąć naprzeciw elitarnych oddziałów wroga, bez szans nie tylko na zwycięstwo...

Scaeva całe swoje życie mówił prawdę. Taki miał bezsensowny zwyczaj, w efekcie czego nieraz kogoś uraził, nieraz zranił. Ale wierzył gorąco, że najgorsza prawda jest lepsza niż najpiękniejsze kłamstwo. I nigdy nie sądził, że tą wiarę kiedyś utraci. A tymczasem spojrzał na twarze swoich podopiecznych. Na rozszerzone ze strachu oczy, na drżące ręce, na stopy drepczące w miejscu, jakby chciały wynieść stąd swoich właścicieli, byle dalej, w ślepej panice. W tej krótkiej chwili zrozumiał, że prawda to coś, co nie ma w tej chwili żadnego znaczenia. I stało się tak, że zdradził swoje ideały ten jeden raz i skłamał:

- Wydaje się wam, że nie jesteście gotowi, że nie dacie rady, że przyszliście tu za późno. Źle się wam wydaje! To wróg przyszedł za wcześnie! I jeśli sądzicie, że kiedykolwiek bylibyście gotowi bardziej, to źle się wam wydaje! To nie ilość dni szkolenia, nie jakość broni i nie siła tarczy stanowiąc będą o tym, czy przetrwacie, ale siła waszego ducha – kłamstwo brzydko zazgrzytało mu w gardle. Usiłował powiedzieć coś podnoszącego ducha bojowego, jakieś ładne logiczne sformułowanie. Ale z każdym zdaniem coraz bardziej wychodziło mu, że jeden pies, i tak wszyscy zginą – Do jasnej cholery! – krzyknął w końcu – Chcecie żyć wiecznie?? W szereg! Równo! Będą o was śpiewać pieśni! ... O nas... – poprawił ciszej, podnosząc z ziemi tarczę i stając w szeregu. Ostatnie słowa zagłuszył huk broni uderzającej o tarcze. Rozpędzona kawaleria zniosła środek linii w pył, wbijając się daleko w głąb formacji. Tuż za konnymi uderzyła piechota. Szeregi zwały się ze sobą z chrzęstem i łomotem...

- Szeregi zwały się ze sobą z chrzęstem i łomotem! Jedni i drudzy siekli ile sił im stało, do ostatniego tchu, do ostatniej...

- Przystań chrzanić, mów normalnie – Ian oparł głowę na dłoniach – Kto ocalał?

- Z armii tyrntyjskiej? – chrząknął goniec – Niewielu.

- Najemnicy?

- Polegli prawie wszyscy...

Ian przełknął ślinę.

- Mów.

- Ulf, Halvard, Einar, wszyscy polegli. Amadeo zginął podczas zwiadu, tam gdzie Wergundowie przekroczyli rzekę. Scaeva poległ na czele swoich ochotników.

- Magowie?

- Polegli...

- Księżna?

- Poległa razem z całym Hirdem Gryfa...

- Pani, przełamali się przez pierwsze linie! Nasi nie wytrzymują magicznego ostrzału!

Rangveig z wysokości końskiego grzbietu mniej więcej widziała całe pole bitwy, tak walczących na brzegu rzeki, jak i tych na nowym froncie, z północnego wschodu.

- Wiem. Nasza kawaleria?

- Uderzyli od wzgórz w ich flankę, ale przewaga zbyt duża. Wycofują się.

- Pikinierzy?

- Przyjęli pierwszą szarżę pancernych. W rozsypce.

- Nasi magowie?

- Obawiam się – odchrząknął oficer – Obawiam się, że oni tą bitwę już przegrali. Zasypano ich ogniem magicznym. Dosłownie...

Księżna westchnęła.

- To dobry dzień, by umrzeć – uśmiechnęła się smutno – Niech dają znak do jarla Leifa. A reszta hirtu niech się szykuje. Rozwinąć chorągiew!

Szereg hirdmanów skandował jej imię, kiedy przejeżdżała paradnym krokiem przed linią tarcz. Uniosła miecz nad głową.

- Dzisiaj! – wykrzyknęła, zaczynając jedno z historycznych przemówień, których uczono ją jeszcze jako dziecko – Bydło pada, przyjaciele umierają! Ale kto zasłużył sobie na pamięć żyjących swoimi czynami, żyć będzie wiecznie! To, co robimy za życia, odbije się echem w wieczności! Dzisiaj jest jej pierwszy dzień! Dziś – zakończyła – zobaczymy się w domu Styrwita!

Zsiadła z konia. Po raz ostatni pogładziła go po chrapach i lekko klepnęła w bok. Wiedziała, że szkolony wierzchowiec znajdzie drogę do bezpiecznej stajni. Kochała konie, ale nie w bitwie. Żadne zwierzę, mawiała, nie zasłużyło, żeby ginąć w imię naszych wojen. Przyjęła tarczę i dołączyła do szeregu. Na jej sygnał ruszyli truchtem, potrójną linią, w pierwszej i drugiej tarczy, w trzeciej wielkie topory na długich trzonkach. Zanim zwarli się z wergundzkimi pawężnikami, hird uformował się w trapez, zwiernając silnie tarcze i opierając o siebie ramionami. Topornicy ze środka wymachiwali orężem nad głowami pierwszych szeregów. Wpadli z trzaskiem na wrogi szereg, pchając go przed sobą i wprowadzając zamęt. Jak taran zagłębili się w masę przeciwnika, drążąc głębiej i głębiej. I utknęli.

I ta walka była naprawdę warta pieśni. Otoczeni ze wszystkich stron, stali jak mur pod naporem piechoty. Gdy Wergundowie zdecydowali się uderzyć w Hird szarżą ciężkiej daramońskiej konnicy, hirmani Gryfa ugięli się tylko trochę, a jeźdźcy odbili się od ściany tarcz, padając pod ciosami ostrz na trzymetrowych drzewcach. Gdy uderzono w nich ogniem magicznym, chowali twarze za tarcze, otrzepywali zwęglone rzęsy i walczyli dalej. Wprowadzili zamęt i związali ogromną część wojowników wroga. Zanim padł ostatni hirdman, dzięki nim niedobitki oddziałów z pierwszej linii zdążyły się przegrupować i wycofać, albo ponownie podjąć walkę. Do końca, do ostatniego. Rangveig, gdyby mogła to widzieć, byłaby dumna ze swoich ludzi. Ale nie mogła. Nie mogła też widzieć wyłaniających się zza wzgórz na wschodzie samnijskich buńczuków. Nie mogła, bo chwilę przed tym, zanim padł ostatni hirdman, padła trafiona strzałą w okular hełmu.

Dwanaście pokoleń władców, potomków Hakona z Tradamonu, spoglądając z zaświatów na upadek księżnej, pokiwało z uznaniem głowami.

- Szcypce! – ktoś od stanowiska chirurgii wrzeszczał opętańczo. Jakiś młody sanitariusz wymiotował tuż za połą namiotu. Melathriel poślizgnęła się na krwi.

- Krąg już prawie wyczerpany – powiedziała cicho do asystującej jej ochotniczki – Nie damy rady dłużej.

Dziewczyna otarła druidce z czoła krew i pot.

- Mamy jeszcze jakieś artefakty, pani Nastia kazała zostawić, podobno manę z nich można brać...

- Caead brathiad crai corff – wyrecytowała Melathriel słabym głosem, pochylając się nad rannym. Nie miała już siły zrywać się na pośpiech, który kazał jej pomijać zaklęcia oczyszczające, wiążące poszczególne naczynia, przyspieszające zrastanie tkanek, na rzecz jednego, ogólnego zaklęcia zasklepiania ran. W każdej innej sytuacji nazwałaby to partactwem. Tu było szczytem możliwości.

Dwoje sanitariuszy z wysiłkiem wtarmosiło na stół przed nią kolejnego rannego.

- Rozciąć mi tą kolczugę – powiedziała, rozcierając ręce – Więcej szmat, bo mi tu istny potop robi. Cysyltu gwytien! – rzuciła szybko formułę tamowania krwotoku, od której zakreśliło się jej w głowie tak, że aż usiadła.

- Melathriel – usłyszała nad sobą głos Volvy, naczelnej tryntyjskiego korpusu sanitarnego – Co ty, do wszystkich czortów, wyczyniasz?!

Druidka podniosła zmęczony wzrok.

- Leczę – zdziwiła się, że chciało jej się odpowiadać. Volva złapała rękaw leżącego na stole nieprzytomnego wojownika i podsunęła jej pod nos.

- Widzisz to? Widzisz te barwy? To jest cholerna trzecia kohorta jazdy salijskiej! Leczysz naszych wrogów..?

Kiedy wiele lat później Melathriel wspominała tą chwilę, nie potrafiła sobie przypomnieć, co skłoniło ją do tak histerycznej reakcji, tak zupełnie niepodobnej do jej normalnych zachowań. Nie pamiętała, skąd wzięła tyle siły, żeby zerwać się z krzesła i złapać uzdrowicielkę za kołnierz. Jakim cudem odzyskała głos, żeby wykrzyknąć tak, że usłyszano ją nawet poza namiotem:

- Wrogów? Jazda salijska?? A ty, uzdrowicielko, widzisz te barwy? – prawie wcisnęła nos kobiety w zakrwawiony rękaw rannego – Widzisz je? Wszystko tu jest w tych samych barwach! W tych samych! Czerwonych! W barwach krwi! Te same barwy nosi jazda salijska i te same tarczownicy z Askaronu! Bo jakoś tak chcieli bogowie, że wszyscy mamy krew w tych samych cholernych czerwonych barwach! Więc zejdź mi z oczu, bo może i zdechnę ze zmęczenia, ale zdążę ci jeszcze podpalić tyłek, jeśli mi się stąd nie zabierzesz i nie przestaniesz przeszkadzać w robieniu tego, co jest moim obowiązkiem wobec bogów i natury!

Gdy puściła uzdrowicielkę, wokół panowała cisza tak gęsta, że słychać było dygoczące z zimna zęby rannych. Cahir podniósł głowę znad rannego, przy którym się modlił i posłał druidce pełen szacunku głęboki ukłon.

Spodziewali się, że wejdą do bitwy z marszu, po kilku dniach marszu, na wyczerpanych koniach i sami na granicy wyczerpania. Byli przygotowani na to, że uderzą w plecy armii Elmaryka, skupionej na atakowaniu brodu Arden. Spodziewali się starcia z kohortami Salijczyków, z ciężką kawalerią daramońską, spodziewali się magicznych ogni i ostrzału Ludzi Lasu. Ale tego, co ukazało się ich oczom, gdy w końcu wyszli na wzgórze przed Arden, nie przewidzieli. I przez dłuższą chwilę nie mogli w to uwierzyć, chociaż dzień wcześniej uprzedzali ich o tym zwiadowcy.

Uther oparł się czołem o końską grzywę i tak pozostał na dłuższą chwilę. Gambaatar długo powtarzał cicho to samo przekleństwo, jakby nagle zabrakło mu weny. Muraco tylko westchnął. Książ Turin pochylił głowę, i choć nie miał jeszcze czterdziestu wiosen, wszystkim patrzącym wydał się starszy niż stuletni dziadowie.

Przed nimi rozciągała się w całej okazałości burobrązowa Rana. Za nią widać było wyraźnie płonący gród Arden i pozostałości wielkiego obozu. Nad całością powiewały wergundzkie, salijskie i daramońskie chorągwie. A tuż przed nimi, po ich stronie rzeki, zamiast bezładnych oddziałów, skupionych na nieistniejących już oddziałach tryntyjskich, stała równa linia ciężkiej, dakońskiej piechoty. Wielkie pawęże lśniły w wiosennym słońcu jak prawdziwa ściana, najeżona wystawionymi z drugiego szeregu pikami. Za nimi, na bezpiecznym już brzegu, sadowili się łucznicy i magowie.

- Spóźniliśmy się – szepnął w końcu Uther to, co wszyscy doskonale widzieli. Wszystkich dziesięciu jag-bejów skupiło się wokół nich, czekając na rozkazy.

- To niemożliwe – stęknął Gambaatar – Mogli się tu bronić jeszcze przez miesiąc. Jak to się stało...?

- Przyjechaliśmy tu na śmierć – rzucił ktoś z przywódców plemiennych – Ming-beju, poprowadzisz nas na śmierć.

- To nie ma sensu – Uther wciągnął powietrze, aż zaświszczało – Przyszliśmy tu bronić Tryntu, ale się nie udało. Przyszliśmy za późno. Zostawiliśmy bezbronne stopy, opuszczone jurty. Nie możemy tu wytracić wszystkich...

- Nie wrócimy, Seranisie, za góry – zgrzytnął zębami łowca – W drodze w tą stronę w walkach z orkami straciliśmy jedną czwartą ludzi. Jeśli teraz każesz im wracać jak psy z podkulonym ogonem, złamiesz ducha ludzi stepu raz na zawsze.

Zapadła cisza. Wszyscy czekali na słowa kniazia.

- Łowca reniferów ma rację – odezwał się w końcu – Przybyliśmy tu po własną zagładę. Albo stracimy tu życie... Albo ducha. Nie mogę wolnym ludziom mówić, co mają wybrać. Być może, jeśli tamci zwyciężą, będzie to nasz ostatni wolny wybór. Jag-beje zdecydują, kto z atamanów ruszy do ataku, a kto wróci z powrotem przez góry.

Ojcowie plemion nawrócili konie i pomknęli do swoich jaghanów.

- Poprowadzę atak – odezwał się Gambaatar.

- Ja poprowadzę ludzi przez góry – powiedział Uther. Książ opuścił głowę jeszcze niżej – Wróc ze mną, synu jaskółki – dodał uzdrowiciel – Twój lud będzie cię potrzebował bardziej niż kiedykolwiek. Nie opuszczaj swoich dzieci.

Jag-beje wracali truchtem. Z dziesięciu jaghunów dwa całe zdecydowały uderzyć. Z pozostałych łącznie pięć arbanów. Książ nadal milczał.

- Nie zazdroścę ci, synu jaskółki – odezwał się milczący dotąd Muraco – Mroczny jest ten dzień i będziesz go przeklinał po kres swojej drogi – władca stepu podniósł na niego wzrok, mówiący jak bardzo stary szaman ma rację – My jesteśmy wolni i każdy dziś wybierze swoją ścieżkę – kontynuował Lisek – Każdy oprócz ciebie. Bo tobie nie wolno opuścić swoich ludzi. Swoich dzieci. A wiesz, że twój syn pójdzie w bój.

Wszystkie oczy zwróciły się na Ałdaja. Zmieszany wojownik chrząknął.

- Ojcie...- Turin przytknął dłoń do czoła jak ktoś, kogo nagle bardzo rozboleła głowa – Ojcie, wiesz, że muszę...

- Wiem – szepnął stary wojownik. Podjechał do syna i objął za kark, przytknąwszy czoło do jego czoła i tak został na dłuższą chwilę. Nikt nie skomentował łez, które popłynęły mu po policzkach. Po chwili bez słowa odsunął się i odwrócił. Uther zacisnął zęby.

- Idziecie na śmierć – odezwał się – A ja idę ocalić to, co zostanie. Jestem uzdrowicielem. Ocalę was w pieśniach.

Gambataar uśmiechnął się.

- Powodzenia – powiedział krótko i dobył miecza – Zaaaa mną! – wrzasnął ruszając kłusem wzdłuż szeregów – Za mną! Jestem Gambaatar Miedziany Topór! Za mną na śmierć i zniszczenie!

- Lisku, a ty? – odezwał się Uther, gdy pierwsze szeregi odjechały – Potrzebujemy cię.

- Nie – pokręcił głową stary szaman – Moje dni i tak dobiegają końca. Niewiele już pieśni zaśpiewam. Zapamiętaj moje imię! Jestem Muraco Biały Księżyc! Umierając, lepiej się przysłużyć szczeniętom w dalekich norach – uśmiechnął się i wykrzyknął na całe gardło – Hokka hey!! Hokka hokka hey! To dobry dzień, by umrzeć!!

- Rangveig przejęła osobiste dowodzenie swoim elitarnym hirdem i poległa razem z nim.

- Jarl Leif?

- Wysłała go z resztką ludzi do stolicy z rozkazem obrony Askaronu.

- Pojechał?

- Tak. Ale wcześniej podobno zaprzysiągł, że zabije każdego Samnijczyka, jaki stanie mu na drodze.

- Samnijczycy nie przybyli?

- Przybyli. Za późno. Gdy dotarli, armia Tryntu już nie istniała, mieli przeciwko sobie cały Pierwszy Tymen, zmęczony i poszarpany, ale cały.

- I co..?- westchnął Ian – Książ Turin zawrócił? Nie zdecydował się wytracić wojowników w bezsensownej szarży, prawda?

- Nooo...

- No?

- No prawda. I nieprawda. Książ Turin zawrócił z większością armii w góry. Na stepy wróciła ledwie połowa tych, co wyszli. A sam książ podobno się załamał.

- Dlaczego? Jak to połowa?

- Gambaatar i Aldaj poprowadzili szaleńczą szarżę na Wergundów. Uderzyli od czoła na ciężką piechotę dakijską. Wdarli się w szeregi, Wergundowie przez pokolenia będą sobie opowiadać o nich baśnie, jako o krwawych, oszalałych demonach...

- I co?

- Wszyscy zginęli.

W pomieszczeniu zapadła cisza. Jakiś podmuch z piwnicy kołysał płomieniem świecy i sztandarem Gildii Kupieckiej na ścianie. Ian zapatrzony w płomień milczał długo.

- Cztery razy stawałem przez połączonym Senatam i namawiałem, żeby uderzyli na Wergundię za linie twierdz w Itharos – odezwał się w końcu, a z każdym zdaniem jego głos coraz bardziej napełniał się gniewem - Tylko dzięki przywiezionym pieniądзом dostałem się na prywatne audyencje do każdego z kratistosów z osobna i do wszystkich razem. Poruszyłem niebo i ziemię, a nawet całą Gildię. Próbowałem nawet przekupić żołnierzy z granicy, żeby sprowokowali incydent graniczny. Sprowokowali sześć, ale strategosi nie ruszyli z twierdz nawet jednego enomu. Nawet jednego. Trzydziestu dwóch ludzi to było za dużo, żeby poświęcić dla sojuszników. Kiedy Pierwszy Tymen Elmeryka wróci z północy, będą musieli poświęcić sporo więcej, kiedy dziesięć tysięcy ludzi zapuka do bram twierdz w Itharos – krzyknął w bezsilnym gniewie, uderzając pięścią w stół. Goniec skulił się na krześle. Ian odetchnął głęboko – Jutro stoję przed Radą Kratistosów raz jeszcze. Jeśli tym razem nie rozpoczną wojny na południu, to, niech mi Herba wybaczy, osobiście ich wszystkich zatłukę!!

- Itharos wypowiedziało nam wojnę, panie – odezwał się Arnulf – Drugi Tymen już spieszy na granicę, ale wdarli się podobno aż pod Demerię.

Elmeryk stał wpatrzony w rozgwieżdżone niebo i milczał.

- Demeria się obroni – odezwał się siedzący obok Eudomar, dowódca połowy Pierwszego Tymenu – Ale jak tam wrócimy, to Rania Liryzyjka pożałuje serdecznie...

- Nie wrócimy prędko – Elmeryk przerwał obserwację gwiazd – Drugi Tymen musi sobie poradzić nad Sankarą – kiedy władca mówił takim tonem, nie należało mu przerywać i wiedzieli o tym wszyscy obecni – Arnulfie, przekażesz rozkazy wszystkim magniferom. Po pierwsze, dwa manipuły ruszają natychmiast na Askaron. Zablokować miasto, zamknąć w kleszczach. Na granicy Daramonu stoją tabory i maszyny oblężnicze. Ściągnąć z granicy Liryzji cztery kohorty pancerne, niech eskortują tabor wzdłuż Szarki. Dalej – Książę kontynuował:

- Znaleźć ciało księżnej Rangveig. Tam, gdzie leży, ma stanąć obelisk z jej imieniem, dowiedźcie się, jak to się pisze runicznie.

- Tak jest.

- Dalej. Kto poprowadził desant?

- Magnifer Beomar z Modrevregu

- Nie, nie on. Ta decurion, zarządzała samą przeprawą, ta Kymeryjka. Nazwisko?

- Indemarie Vaghaen.

- Awansować do primikohorty. A Beomara przyprowadzić do mnie.

- Niestety, panie – Arnulf skłonił głowę – Magnifer Beomar poległ podczas szarży na czele swoich ludzi.

Elmeryk westchnął.

- Jak mam budować imperium, kiedy giną najlepsi. Wyślij jego rodzinie równowagę jego ciała w złocie. Dalej, panowie. Musimy ruszyć na wschód. Eudomarze, weźmiesz resztę Tymenu i ruszycie przez Wolne Miasto na Przełęcz na wschód. Samarkanda ma być zdobytą najpóźniej do zimy. Aha – odwrócił się do księcia Daków – Miasto na Przełęcz ma zostać nietknięte, rządząca tam... jak ona się nazywa?

- Adalia Lettenhove, panie. Rządzi z nadania Tryntu – pospieszył z odpowiedzią Arnulf. Był z pewnością najlepszym adiutantem, jakiego można było sobie wymarzyć.

- Świetnie – dokończył władca – Więc teraz będzie rządzić z naszego. Przygotować odpowiednie dokumenty. Włos miastu z głowy ma nie spaść.

Eudomar przyjrzał się ze zdziwieniem przyjacielowi. Przez chwilę miał wrażenie, że dojrzał w jego oczach zamglenie charakterystyczne dla osób poddanych zakłębom umysłu. Ale nie śmiał się odezwać. Podążył za wzrokiem księcia i spojrzał wprost na odległe przylepione do czerniejącego na tle nieba łańcucha gór światła Miasta na Przełęcz.

Adalia Lettenhove prawie wyczuła wrogi wzrok, choć z odległości kilkudziesięciu mil musiało to być złudzenie. Ale jednocześnie poczuła bezpieczne oparcie. Miała świadomość, że obydwa te uczucia to wpływ magii.

- Spokojnie, Pani Miasta – powiedziała piękna czarnowłosa kobieta w zwiewnej, biało czarnej szacie, bawiąc się zawieszonym na sznurze pereł amulecie – Spokojnie. Miasto na Przełęcz jest już bezpieczne.

- Panie, jeszcze jedno – odezwał się Arnulf, wskazując ruchem głowy na postać, trzymaną przez dwóch wojów w wejściu do namiotu.

- Kto to jest? – Elmeryk zmarszczył brwi. Postać wydała mu się znajoma.

- Skrytobójca. To elf z Aenthil. Nie mamy pojęcia, na czyje zlecenie działa, wywiad na jego temat wie tyle, że miasto Birka daje sto birów za jego łeb. On sam wpadł nam w ręce jedynie przez przypadek. Przy próbie ujęcia go, zabił dwóch mierzających do niego kuszników, a potem kolejnych czterech uzbrojonych po zęby. I maga, który usiłował go obezwładnić.

Elmeryk uniósł brwi z uznaniem i podszedł do jeńca.

- Spotkaliśmy się już raz, prawda?

- Dwa razy – odparł elf tonem tak spokojnym, że księcia Wergundów przeszedł dreszcz.

- Dwa razy... – powtórzył w zamyśleniu – Zrobimy tak. Jesteś najlepszym skrytobójcą, jakiego znam. Żaden dotąd nie podszedł tak blisko. Ale powiem ci w zaufaniu, że choćbyś podszedł jeszcze bliżej, nic ci to nie da. Takie przeznaczenie, rozumiesz – Elmeryk uśmiechnął się ponuro – Bogowie objawili moim kapłanom, że żaden z moich wrogów nie zdoła mnie zgładzić, w boju, ani z ukrycia. Więc możesz sobie wybaczyć, bo nie masz szans. Mam dla ciebie propozycję, ale powtórzę ją tylko raz. Zabijaj dla mnie, w przeciwnym razie oddam cię rajcom w Birce jako prezent w ramach ocieplenia stosunków. Masz noc na podjęcie decyzji. Odprowadzić go.

Był słoneczny dzień, pomimo, że nadchodziła zima. Elmeryk uśmiechnął się do swoich myśli, wspominając mroźną i wietrzną wiosnę na północnych ziemiach. Ziemiach, które mimo woli pokochał, właśnie dlatego, że w taki sposób go przyjęły. Ziemie wolnych ludzi, ziemie wolnej woli.

Stojący przed nim kapłani zawodzili swoje pieśni ku czci Modwita, a on w myślach zanosił do Pana Wojowników własne modły. Własną litanię. Oddawał opiece boga tych, którzy zostali tam na północy, pod kamiennymi milczącymi kurhanami. Wojowników, poległych pod Arden. Beomar z Modrevregu, wzór dowódcy. I półtora tysiąca innych, którzy zostali tam, walcząc o bród na rzece, w czasie przeprawy, w czasie szturm. I kolejni, którzy zginęli przy pięciomiesięcznym oblężeniu Askaronu. I kolejni, których bielejące w stepie kurhany znaczyły szlak piątego manipułu Eudomara, idącego na opustoszałą, zasypaną śniegiem Samarkandę. Orkowie, którzy polegli, broniąc Samnijczykom przejścia przez góry. I wrogowie. Rangveig z Tryntu, najlepszy przeciwnik, jakiego los postawił na jego drodze. I cztery tysiące jej wojowników, których z imienia nie znał. I ci, którzy poprowadzili samobójczą szarżę samnijską, o których ponoć śpiewają już pieśni w stepach, Gambaatar Miedziany Topór i Muraco Biały Księżyc.

Kapłani przestali zawodzić. To był ostatni element, po obrzędach druidzkich, magicznych zaklęciach i błogosławieństwach. Po uroczystym hołdzie armii wszystkich narodów. Po symbolicznym zawarciu paktu opieki z każdą z ziem protektoratów. Tak, każda z tych ziem została wolna, autonomiczna. Tak właśnie miało wyglądać jego wielkie imperium północy. Zjednoczone. Wolne i silne w jedno. A potem zasiadł na tronie rzeźbionym w symbole wszystkich narodów, które stały się częścią jego marzenia. I nałożył sobie na głowę Smoczy Diadem, Koronę Ludów.

Był dwunasty dzień miesiąca Kerzu, ostatniego miesiąca 833 roku po Wielkiej Ekspansji, według datacji ofirskiej.

Pisala Indiana